

G. Zapolska

Szmat
ZYCIA



SZMAT ŻYCIA

Wincenty

Dobrowski

Wasilków du. 15/II - 20r.

J. 10. 9.

Gabryela Zapolska.

SZMAT ŻYCIA

POWIEŚĆ

Część IV.



WARSZAWA.

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.



77132/4

CZEŚĆ CZWARTA.

XIV.

Marya, odsunąwszy się cokolwiek na bok od balustrady, powiodła okiem po tej masie głów zbitych, które w oddaleniu wydawały się jak morze plam niepewnego, żółtawego koloru. Gdzieś tam gdzie tylko chorągiew kładła czerwoną plamę lub wystrzelała białą szmatą jedwabiu, w której słońce srebrnawe zapalało błyski. Po lewej, nad falą głów ludzkich, w kształcie symbolicznej łodzi Piotrowej, złociła się ambona, z której niewidzialny powiew wiatru gwałtownie w górę odwiewał cały kłęb złotej, lśniącej draperyi. A dalej, u filarów uczeplone, zaznaczały się zlekka świeczniki i na dalszych planach ginęły w ledwie dostrzegalne punkta, na śnieżnym tle filarów, w łuki podniebne się wiążących.

I tylko poprzeczna ściana świątyni nagle barykadowała tę perspektywę białą, rzucając z góry

K-117/77/67874

ciężką masę chóru. Po nad balustradą migwały zdaleka świetlane organy.

Marya, zapatrzona w przestrzeń, uczuła nagle obok siebie zbliżenie jakiejś istoty, pochylonej nad jej ramieniem i szepcącej:

— Czy to za chwilę?

Obejrzała się.

Leon stał przed nią uśmiechnięty, zupełnie correct, w swym anglezie czarnym i w ciemnym krawacie. Od chwili wejścia do kościoła usiłował przybrać minę poważną, czując, że i on podlega ogólnej uwadze, jako... ojciec chrzestny.

Marya skłoniła lekko głowę.

— Tak, za chwilę!

— Będę convenable!

— Spodziewam się. Gdybym myślała choć chwilę inaczej, nie uczyniłabym panu tej propozycji.

Leon skrzywił się i zmrużył oczy.

Promień słońca, złamawszy się w pryzmatach pająka, padł na jego twarz poźółkłą i wychudzoną, oblewając ją blaskami tęczy. Lekko pochylona głowa Maryi, jej szaroniebieska płócienna suknia pokryły się tą różnobarwną strugą, która z góry płynęła.

— Spójrz pani na pana Antoniego, jak jest przejęty ważnością chwili.

Marya spojrzała na prawo, gdzie pod zielonym dachem oleandru zarysowała się silna postać posesora horeckiego.

Pod opaleniem skóry twarz miał bladą, aż w szary ton przechodzącą. Czarne swe, wielkie źrenice utkwil w płomienie świec i stał tak nieruchomy, wyprostowany, mocno wzruszony, niezgrabny, w źle skrojonym surducie, przez krawca partacza w zapadłym kącie miasteczka uszytym. Od dwóch tygodni bawił już w Warszawie, przepelniony trwożliwą radością, wzrastającą w miarę zbliżania się chrztu Trejny. Zwykle cichy i mało mówny, stał się nagle hałaśliwym w objawach swego niespokojnego zadowolenia i dnie całe przepędzał w mieszkaniu Stanisławowstwa, wynurzając się w prostych i dziwacznych wyrazach, w zdaniach nagle urywanych i jakby zdławionych przed Maryę, która z niewysłowionym niepokojem słuchała tych wyrazów, dziecinnej radości pełnych.

Pragnął, aby ceremonia chrztu łączyła się z ceremonią ślubu, lecz nagle projekt jego rozbił się o odmowę Trejny, która, gdy Marya przed tygodniem, uproszona przez Antoniego, udała się do parlatorium, aby jej to zaproponować—drgnęła cała i po długiej chwili odparła wreszcie:

— Nie teraz!

Marya, siedząca po drugiej stronie kraty, doznała nagle jakby uczucia ulgi. Dlaczego? Na razie nie mogła sobie zdać sprawy z tego uczucia. Później, wracając do domu, ulicami, po których w blasku słonecznym snuli się przechodnie, wytłómaczyła sobie doznane wrażenie. Ależ tak,

mój Boże! to bardzo naturalne. Trejne nie wzbudza w niej zbyt dużego zaufania. Pomyśleć, że tak prawa natura, jak Antoniego, chce się połączyć na śmierć i życie z tą istotą wół dziką i jakby knującą w głębi serca niedobre zamiary! I Marya, jakby z uczuciem tryumfu, wbiegła do saloniku, w którym czekał na nią Antoni.

— Co powiedziała?—zapytał drżący.

— Powiedziała: „nie teraz!...”

On zbladł i przyciął wargi, jakby tłumiąc dojmujące uczucie bólu.

Marya stała przed nim ciągle tryumfująca, nie mogąc zrozumieć, co się z nią działo. Pierwszy to raz w jej życiu cierpienie cudze sprawiało jej rodzaj ulgi.

— Trzeba było nalegać...—wyrzekł wreszcie Antoni.

Nagle Marya porwała się gwałtownie.

— Nalegać! może prosić?—rzuciła szorstko, nie poznając sama dźwięku swego głosu.

— Nie prosić—ciągnął Antoni—ale przelozżyć, wytłómaczyć. Trejne, dobra gołąbka, łatwoby zrozumiała, ta się przychyliła. A tak, cóż mnie teraz robić?

Głowę na piersi opuścił w smutnej zadumie, a Marya odeszła do Jerzusia bez pociechy dla zasmuconego, bez łagodnego słowa pocieszenia dla zboląłego serca mężczyzny.

I odtąd, ciągle rozdrażniona, walcząc z jakąś niechęcią, której sobie wytłómaczyć nie mo-

gła, unikała starannie rozmowy o przyszłych projektach co do Trejny, starając się niemal imię żydówki usunąć z rozmów swych z Antonim.

Nie było to jednak rzeczą łatwą. Posesor, więcej niż kiedykolwiek rozmarzony wspomnieniem dziewczyny, po kilku dniach znalazł wymówkę dla odmowy Trejny.

— Biedaczka! Chrztem świętym wzruszona, nie chce myśli pobożnej odrywać. Dlatego mówi: „nie teraz.” Ma rację. Ja poczekam!

W dniu chrztu przybył rano do Maryi tak blady i wzruszony, że Leon, oczekujący na swoją „kumę” w salonie, otworzył szeroko oczy.

— Czy jesteś pan chory?—zapytał.

Lecz Antoni nerwowo szarpał węzeł krawata.

— Jedźmy! spóźnimy się!—szepnął.

Leon ramionami wzruszył.

— Nie lękaj się pan—wyrzekł z uśmiechem—przybędziesz pan zawsze zawczasem.

W kościele, podczas sumy, Antoni modlił się gorąco. Miał on w sobie poczciwą prostą wiarę i dużo szkaplerzy i medalików na swej muskułarnej piersi nosił. Dziś, byłby padł krzyżem, ot prosto na ziemię, na dywan, okapany stearyną i woskiem, gdyby go fałszywy wstyd nie wstrzymywał. Klęczał tylko, bił się w piersi i, zapatrzony w ołtarz, gorejący wśród świec jarzących, powtarzał: „pomnij, o najmiłosierniejsza Matko Boża!..”

Leon śledził go z pod oka. Sceptyk, a właściwie człowiek, lekceważący wszelkie obrządki religijne, szeroko otwierał oczy na widok egzaltacji tego rosłego, ogorzałego wieśniaka. Dla Leona chrzest był poprostu aktem urzędowym, mocą którego Trejne miała prawo wykreślić się z grona pogardzanego plemienia. Dlaczegoż więc Antoni był tak mocno wzruszony? Dlaczego bladł coraz bardziej?...

I, ukazując go Maryi, nieruchomego na tle zieloności, zaczął usilnie w głębi swej duszy przetrząsać wszystkie kryjówki. Mazette! A gdyby też tak on na chwilę zdołał jeszcze poruszyć się i wstrząsnąć do głębi. Może byłby szczęśliwszy, może ocknąłby się z letargu, w którym drzemał.

Nagle zabieliło się pomiędzy oleandrami.

Jak stadko gołębi nagle z gniazda wypuszczonych, tak śnieżne suknie katechumenek zajaśniały w przestrzeni.

Tłum zaszemrał i zaczął cisnąć się do balustrady.

— Już są! już są! patrzcie!... O, jedna ruda, dwie czarne...

Z szelestem jedwabiu posuwa się teraz Trejne do ołtarza. Mija obok stojącego Antoniego, któremu krwawy obłok oczy zasłania. Powoli staje na dywanie, trzymając, wedle wskazówek siostry Déposée, ręce na piersiach złożone. Obcisłe rękawy sukni wrzynają się w jej ramio-

na. Ona czuje ten dojmujący ból, który jej nieokreśloną rozkosz sprawia. Po za sobą odczuwa tłumy, którym za chwilę hardo spojrzy w oczy.

Obok niej Różia i Franusia, pokorne, niezgrabne, nieśmiałe, z głowami kornie schylo-nemi na piersi, jakby w chęci przebłagania Boga i ludzi za niepopelnione przez siebie winy.

Leon pochylił się ku Maryi.

— Która?— wyszeptał cicho.

— Ta w środku.

— Bigre!

Machinalnym ruchem po monokl sięgnął i w pół drogi się zatrzymał. Postanowił być correct i „szybkę” napowrót w kieszonce ukrył. Zresztą uroda Trejny rzuciła się i tak w oczy; i Leon, jako znawca prawdziwy, odrazu oceniwszy cały jej przepych, szybko, przelotnie poszukał wzrokiem Antoniego. Ujrzał go cofniętego w głąb, zapatrzonego w narzeczoną, jak w tęczę, z ręką przy ustach nawpół otwartych.

I tyle było szczerości w tych ciemnych pocziwych żrenicach, że Leon po raz pierwszy bez uśmiechu ironii wzrok swój od Antoniego oderwał.

Lecz teraz już katechumenki powoli odwróciły się od ołtarza i, poprzedzone przez kościelnego, ku wyjściu posuwać się zaczęły. Za każdą dziewczyną stawali jej chrzestni rodzice, towarzysząc im do przedsionka. Leon i Marya zajęli miejsce za Trejną, lecz długi tren sukni posuwać

się im przeszkadzał. Katechumenka szła wolno, podrywając za każdym krokiem fałdy jedwabiu, okryte masą iluzji. Szmer uwielbienia towarzyszył szelestowi materji. Niezwykła uroda izraelitki wzburzała tłum cały; ona szła, zatrzymując się umyślnie, wlokąc leniwo, jakby pod działaniem rozkosznego letniego deszczu. Chór pochwał łaskotał ją lekko.

Gdy weszła do przedsionku, w którym szlochała już Franusia, doznała uczucia żalu, że się ta tryumfalna podróż skończyła. Pocieszała ją tylko myśl, że za chwilę do ołtarza znów tak samo wracać będzie.

Jakoż wkrótce kościelny, znajdujący się z katechumenkami i chrzestnymi ich rodzicami w ciemnym przedsionku, do którego od ulicy i od wnętrza świątyni drzwi były pozamykane, zakolatał mocno do tych ostatnich.

Z wnętrza kościoła dał się słyszeć głos przytłumiony:

— Czego żądasz?

Pierwsza Franusia wyłkała zdławionym głosem:

— Kstu świętego.

Rodzice chrzestni podstąpili, kładąc ręce na zgarbionych ramionach dziewczyny.

Wreszcie drzwi się otworzyły, smuga nagłej jasności wpadła w ciemnię przedsionka. Jak olbrzymie promieniejące zjawisko zamigotał wielki ołtarz, przecięty poprzeczną strugą światła, z okna

płynącą. I kolejno wyprowadzano każdą neofitkę, która, trzymając się stuły kapłana, szła po ścieżce czerwonego sukna ku świetlanemu zjawisku.

I powoli ceremonia cała rozwinęła się z przepychem, opromieniona urokiem poezji, zawisłej nad głowami tych dziewczyn, które w swej nieskalanej bieli, do stóp ołtarza przypadszy, zdawały się liliami, na purpurę dywanu rzuconemi, na ofiarę Matce-Dziewicy, bielejącej nad niemi w obramowaniu różowych oleandrów i złotej ramie świec, w powiewie wiatru drgających.

Od jednej do drugiej przesuując się, kapłan wyciągał nad ich pochylonemi głowami białe i wychudłe ręce.

Jasna struga słońca oświecała teraz dokładnie dziewczyny i, oblewając jasnym złotem rudą głowę Franusi, muskała ramiona i kędziory Trejny, aby osunąć się pod stopy bladej, jak ściana, Rózi.

Krople wody srebrzyły się na włosach dziewczyn, mieniając się barwą brylantów w blasku słonecznym. Matki chrzestne trzymały w rękach welony i wieńce, pozdejmowane z głów dziewczyn w czasie ceremonii.

Teraz ich rola była skończona.

Odstępowały powoli ku balustradzie, pozostawiając swoje przybrane córki same, na stopniach ołtarza, dla przyjęcia pierwszej komunii.

Z po za kraty płynął jakiś gorący powiew

silnej wiary i serdecznej modlitwy, szeptanej przez okryte czarnymi welonami zakonnice.

Po za balustradą tłum się cisnął ciągle, bawny, ciekawy, komentujący zachowanie się dziewcząt, rozbierający ich wdzięki.

Zielonawe oczki Leona zaczęły błędzić niespokojnie, szukając Antoniego.

Znalazł go wreszcie, pod oleandrem, wcinętego w ramiona rośliny. Posesor klęczał z rękami do ust przytulonemi, z oczyma wlepionemi w ołtarz, a po jego ostrej i spalonej od słońca twarzy płynęły dwie łzy, znacząc się lśnięciami bruzdami wzdłuż ciemnych policzków.

Leon przez chwilę na łzy te patrzył i nagle głowę na piersi opuścił.

XV.

Gdy w głębię swej duszy wniknęła, Marya doznała nagle jakby olśnienia. Co się z nią działo? dlaczego taka ciągle niechęć do Trejny, rosnąca z czasem w głębi jej serca? Wszak ta nie zrobiła jej żadnej krzywdy, nie obraziła jej nigdy, milcząc najczęściej, lub odpowiadając krótko na zadawane jej pytania. Ostatecznie Marya nie miała jej nic do zarzucenia. Przebyła cały czas w klasztorze, choć z trudem, jednak nauczyła się katechizmu. Stłumiła w sobie bunt, które czasem w oczach jej zapalały błyski, przyjęła chrzest i miała zostać żoną Antoniego. Zakonnice nie skarżyły się na nią zbyt często. Matka przełożona z uśmiechem powiedziała tylko kilkakrotnie: „biedne dziecko! jest troszkę leniuzek i dzika, jak kotka!” Lecz to wszystko nie były dostatecznie sformułowane zarzuty i nie wystarczały do usprawiedliwienia niechęci Maryi.

I młoda kobieta z febryczną egzaltacją postanowiła zająć się Trejną, zatrzymać ją przy sobie do chwili ślubu z Antonim, otworzyć jej dom, otoczyć ją opieką, ułożyć ją do nowego życia, w które wejść teraz miała.

Tak! stanowczo — tak będzie najlepiej. Mając ciągle Trejnę przy sobie, wciskając ją niemal w swe domowe istnienie, musi zwalczyć przesąd i upartą niechęć, jaka ją nawet na widok neofitki ogarnia. Wreszcie — to jest jej obowiązek, obowiązek święty. Nie jest-że chrzestną matką Trejny? czyż nie powinna jej zastąpić rodziny?

I z nagłą determinacją, po ceremonii chrztu, Marya objawiła w zakrystyi zamiar zabrania Trejny do siebie na czas, dzielący ją od ślubu z Antonim.

— Zostaniesz u mnie, w moim domu! — wyrzekła, kładąc rękę na ramieniu żydówki.

Antoni, obok stojący, uśmiechnął się radośnie.

— O, pani Maryo!... jakże jesteś dobra!

Chciał ująć jej rękę, lecz ona ukryła ją w fałdy sukni.

— Nie dziękuj pan — odparła — wypełniam swój obowiązek.

Nie patrzyła mu w oczy, pomimo usiłowań, jakie czyniła, aby spojrzeć prosto w twarz pose-sora. Utkwiła wzrok w lśniąca posadzkę zakrystyi i zdawało się jej, że powieki jej oczu mają

ciężar ołowiu. W dłoni, którą oparła na ramieniu Trejny, czuła lekkie palenie, jakby pod jedwabiem stanika tlił się wieczny płomień. Co miała w swem ciele ta dziewczyna, aby płonąć tak ciągle, nawet w cieniu i spokoju zakrystyi?

Ksiądz jałmużnik, oparty o rzeźbione szufłady olbrzymiej komody, zdejmował z siebie stulę.

— Podziękuj swej chrzestnej matce, dziewczeczko, za jej dobroć dla ciebie.

Trejne, powoli nawykła do posłuszeństwa w klasztorze, odwróciła się ku Maryi, która, nagłym przejęta wstrętem, szybko cofnęła się w tył.

— Nie dziękuj! — wyrzekła gorączkowo i, do Antoniego się zwróciwszy, dodała:

— Jedziemy wszyscy! Joasia nie potrzebuje zmieniać stroju, niech się nim nacieszy!

Usiłowała się uśmiechnąć i, zbliżywszy się do księdza, w gorących słowach dziękowała za opiekę nad Trejną.

Ksiądz głową poruszał łagodnie, uśmiechał się, wreszcie do Trejny się zwrócił:

— Jedź, dziewczeczko, z twoją chrzestną matką! jedź, i staraj się mieć ciągle na uwadze święte obowiązki, które na ciebie w dniu dzisiejszym spadły. Chrześcianką nietylko z imienia być winnaś!

Potem do Antoniego się zwrócił:

— Powrócisz nam ją pan w dzień ślubu! Szczęśliwy będę, mogąc was na dalszą drogę pobłogosławić!...

Rękę w przestrzeń wyciągnął, lecz już Antoni, cały rozrzewniony, do ręki tej dopadł i serdecznie całować ją zaczął.

— Bóg zapłać—wyszeptał—Trejne... ucałuj rękę dobrodzieja!...

Lecz Trejne zajęta była całą otulaniem się w masy iluzji, które na nią Marya narzucała przy pomocy Leona.

— Zasłoń szyję, Trejne. Jesteś cała zgorączkowana—mówiła Marya do dziewczyny.

Lecz żydówka uparcie odchyłała koronki stanika.

— Mnie gorąco!

— Proszę się zasłonić—wyrzekł Leon z komiczną powagą—ja tak każę! ja ojciec pani.

Trejne spojrzała na niego uważnie. W oczach Leona migotały zielonawe iskierki długo tłumionej wesołości.

Trejne iskierki te pochwyciła. Zabawiły ją. Wogóle wiewiórcza twarz młodego człowieka wydała się jej bardzo śmieszną, lecz zarazem natchnęła ją jakąś chwilową nieufnością. Było to wrażenie przelotne, bo już otrząśnięta z niego, uśmiechała się z pod masy rozrzuconych włosów.

— Ojciec?

— Chrzestny, ale zawsze ojciec.

Roześmieli się oboje prawie głośno, a śmiech ten wpadł nagle w uroczystą ciszę zakrystyi, w której jeszcze unosiły się lekkie obłoczki spalonej miry i resztki piżma z szuflad się dobywającego.

Dnia tego prawdziwa uczta weselna zdawała się odbywać w pomieszkaniu Maryi.

W sali jadalnej, w której otwarto szeroko okna, wychodzące na drzewami zarosły dziedzińiec, zasiadła do stołu Trejne w swej dziewiczej bieli, z włosami lekko związanemi białą, szeroką wstęgą, mając po prawej ręce Maryę, po lewej Antoniego, wpatzonego w swą uroczą narzeczoną jak w tęczę. Obok Maryi zajął miejsce Leon, mając naprzeciwko siebie Stania, który błyszczał dnia tego urodą i niezwykłym humorem. Punktem ciągnącym bezwarunkowo oczy całego towarzystwa była Trejne, która trochę zażenowana nagle znalazła się w tak wykwintnem otoczeniu, staczała formalne walki z nożem, widelcem i baterią kieliszków, ku wielkiej ucieście Leona i rozrzewnieniu Antoniego, opiekującego się narzeczoną i dopomagającego jej w spożyciu właściwym narzędziem podawanych potraw. Ciemne oczy posesora miały w sobie jakąś troskliwość macierzyńską, która zdawała się splywać ciepłą kaskadą na oporną głowę żydówki.

Cały przejęty ważnością dnia, rozpromie-

niony, młody posesor nie dostrzegł badawczego wzroku Stania, który od czasu do czasu z twarzy Trejny oczy swe na twarz Antoniego przynosił. Antoni jednak nie widział nic, okrom swej wybranej, nic, nawet szyderczo uśmiechniętych ust Leona, który wszelkimi siłami starał się wciągnąć do rozmowy milczącą Trejnę.

Powoli dobre wina, wyborna kuchnia, wykwintne przybranie stołu, na którym wędły całe snopy kwiatów, przepelnily całą atmosferę łagodnym tchnieniem dobrobytu i wygody. Wszyscy się poddawali temu urokowi, opóźniając chwilę powstania od stołu.

Rozmowa toczyła się prawie ciągle koło uroczystości chrztu, gdyż z taktem, właściwym ludziom dobrze wychowanym, wszyscy odczuwali dziwne położenie Trejny, gdyby rozmowa weszła na inne tory.

Stanio po raz setny ubolewał, że ominęła go sposobność widzenia rzeczy tak niezwyklej.

— Dlaczego nie byłeś?—zapytał Leon.

Stanio roześmiał się wesoło.

— Ma foi! będę szczerym. Zaspąłem.

Leon ramionami wzruszył.

— Połowę życia przesypiasz. C'est pas vian.

— Markowałem wczoraj.

— Ach... si c'est ainsi.

Stanio znów w kierunku Trejny spojrział.

— Panna Trejna... pardon, Joanna! zdaje się smutna?

— O, nie!—odparł za narzeczoną Antoni— jest tylko wzruszona.

Trejne oparła się teraz o krzesło, przechylając w tył głowę, poddając się ciałem całem. Siedząc w ten sposób z oczyma nawpół przykniętymi, z powiekami purpurowymi od krwi napływu, była prześliczna; czar młodości wiał od niej i odurzał.

Stanio nie spuszczał już z niej oczów, w których pod długą ciemną rzęsą tlił się jakiś niebezpieczny ognek.

— Cóż to będzie później!—rzucił nagle matowym głosem, uśmiechając się pod wąsem.

— Ba! w dniu ślubu panna Joanna oswoi się już z wrażeniem—wyrzekł Leon.

— Nie tak to łatwo. Ręczę, że w dniu ślubu panna Joanna będzie sto razy więcej wzruszona.

— Przygotuje się na rekolekcyach.

Stanio roześmiał się głośno.

— Tiens! to będą przedtem rekolekcyce? je n'en savais rien!

Śmiał się wesoło, podniecony bliskością tej pięknej dziewczyny.

I nagle Trejne wybuchnęła także śmiechem, śmiechem płaskim, banalnym — jakby cała tłumiona od rana wesołość potrzebowała znaleźć w śmiechu tym ujście.

Śmiech ten chrapliwy był istotną niespodzianką i podzielał zaraźliwie na całe towarzy-



stwo. Uśmiechał się Antoni, rad z rozweselenia się milczącej dziewczyny, śmiał się ironicznie Leon, oparłszy się wygodnie o wysoką poręcz krzesła. Uśmiechała się cicho służba, od początku obiadu usiłująca zachować powagę na widok „wychrzcianki” z ogonem i z „welonem” na głowie.

— I któż to rekolekcyje te prowadzi — ciągnął dalej Stanio, uszczęśliwiony z sukcesu — panna przełożona, czy chór zakonnicy? — Panno Joanno, pani musi te rzeczy lepiej wiedzieć od nas?

Trejne oparła się rękami o stół.

— Nie znam — odpowiedziała zdławionym głosem.

Słowa jej, wyrzeczone nagle ze ściśniętego gardła rozległy się trywialnie z pośród wykwin-tych ścian jadalni.

— Nie zna pani?—podchwycił Leon—ale... jak się pani zdaje?

Ona, ośmielona pierwszym przemówieniem, powtórzyła znów z uporem:

— Nie znam.

Śmiała się ciągle nerwowo, a palce jej, krótkie, płaskie, z paznogciami silnie przez siostę szafarkę przyciętymi, mięły kurczowo delikatną tkaninę serwety. Kilka kieliszków wina podziało na nią widocznie, bo, płonąca cała, poruszała szybko pierściami, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego podniecenia. Wzrok męż-

czyn, uparcie na nią zwrócony, działał na nią wspólnie z gorącym napojem. Mimowoli wyzywająca natura leśnej zalotnicy budziła się w niej z całą siłą.

— A pani pójdzie na te rekolekcyje?—pytał dalej Leon.

Ona kołysała się na krześle.

— Nie puńdę.

— Czemuż pani nie *puńdzie*? Klasztor mi się bardzo podobał. Ja, na miejscu pani, chętniebym poszedł.

— A ja nie *puńdę*!

— Jak rodzice chrzestni każą?

— Ja nie *puńdę*.

— Rodziców trzeba słuchać!

— Ojej!

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

— To nie żadne ojej! — ciągnął dalej Leon — jak każemy, tak się stanie. Prawda, pani kumo?

Lecz Marya powstała nagle od stołu.

— Przejdźmy do saloniku na kawę, będziecie tam swobodniejsi.

Od początku prawie obiadu cierpiała niewymownie. Obecność Trejny u stołu drażniła ją niewypowiedzianie. Siłła się jednak nie okazywać swej niechęci, wymawiając sobie w duszy to uprzedzenie kastowe. Dopóki jednak żydówka trzymała się w rezerwie i zachowywała milczenie, Marya z pewnym rodzajem politowania spo-

glądała na jej usiłowania i dążenia do wzniesienia się na poziom towarzystwa, jakie ją otaczało. Z chwilą jednak ozywienia się Trejny, z chwilą tego śmiechu, który chrypliwym dźwiękiem towarzyszył matowej gamie śmiechu Stania i złośliwemu chychotowi Leona, Marya uczuła nagle, jakby część tej śmieszności katechumenki spadała na nią i przygniatała ją swym ciężarem.

Żarty Stania, czynione z klasztoru, żarty wątpliwego smaku, podtrzymywane przez Leona, odpowiedzi płaskie Trejny, cały ten potok wyzywających, trywialnych śmiesznośtek, wobec służby manifestowanych, szarpał wrażliwe i pełne wykwintnego smaku usposobienie Maryi. Wreszcie zachowanie się Antoniego, który, pogrążony w uwielbieniu swej półdzikiej kochanki, nie czuł tych ostrych dysonansów, jakie sam śmiech jej w przestrzeń rzucił, nie chwycił ironicznego tonu w głosie Leona, nie czuł aroganckiego tonu narzucania się Stania... I ona, Marya, cierpiała teraz podwójnie, za siebie i za tego człowieka, który siedział opodal, promieniejący, uśmiechnięty, cały pod wrażeniem uroku młodej dziewczyny.

I nagle, gdy przyszedłszy do salonu, Marya spojrzała na kółko mężczyzn, zbitych dokoła Trejny, zacisnęła ręce dokoła srebrnej maszynki, w której wolno filtrowała się kawa. Salon jej, ten cichy, spokojny salon, zdawał się nagle przemieniać w targowisko jarmarczne, w jakąś scenę,

z desek naprędce skleconą, na której popisowała się hecarka w iluzje dziewicze strojna i w obślony śnieżnej koronki.

Z uchylonych okien płynęły dalekie od miasta szmery. Zielone palmy we framugach szerokie kładły wachlarze. Ciemny aksamit ścian resztki dogasającego dnia chłonał.

Marya, nalawszy kawę, wsunęła się we framugę okna i, oparłszy się o aksamitną poduszkę, stała tak, twarzą nawpół do ulicy zwrócona. Potrzebowała choć na chwilę pozostać samą, pomimo, że prawie cały obiad, wszyscy Trejną zajęci, nie zwracali na nią zbyt uwagi. Usiłowała myślą objąć postępowanie męża. Tak! bezwarunkowo, obecność Trejny podniecała go i bawiła. Dawno już Marya nie widziała go tak ożywionym i rozbawionym. Było to trochę „ulicznikowskie” rozbawienie, lecz Marya przywykła już do rozmaitych w swem życiu niespodzianek. I widząc go tak ożywionego, cisnącego się niemal do ramienia Trejny pod pozorem dolania jej Chartreus’y, Marya doznała jakby odnowienia się jakiejś bolesnej rany. Więc tak mało była mu potrzebna?

Lecz już oczy młodej kobiety, jakby mimowolnie, pobiegły za postacią Antoniego, niknącą prawie na ciemnym tle draperyi. Stał teraz zadumany, bez uśmiechu na ustach, lecz ciągle w Trejnę wpatrzony. Był to jakiś urok, który

zdawał się go magicznym czarem przykuwać do tej głowy, z której splywała kaskada iluzji.

Marya uśmiechnęła się smutnie.

Więc i on także?

Przetarła ręką oczy. Dlaczego mówi: i on także! przecież on przedewszystkiem! On już od lat tyłu przecież kocha tę dziewczynę zapamiętałą. On jeden powinien, jemu jednemu wolno!

Siłą woli znów Marya zwróciła się do męża. Stał teraz pochylony nad fotelem, w którym wpełzła raczej niż siedziała, Trejne. Biała jej suknia oplątywała jego nogi, jak wąż olbrzymi pod stopy mu się ścieląc. Mówił ciągle, wyzywając Trejne do odpowiedzi, podtrzymywany przez Leona, który, na niskim taburecie przysiadłszy, ze złośliwą ironią w twarz żydówki się wpatrywał.

Marya obraz ten wzrokiem obejmowała i chłonęła w siebie z jakąś bolesną rozkoszą. Nie wiedziała dlaczego, lecz powoli wbijała sobie w pamięć tę grupę, złożoną z mężczyzn i białej postaci kobiecej, na tle purpurowego aksamitu.

Przymknęła oczy i stała teraz tak osamotniona, smutku pełna, czując się prawie sierotą w tym własnym domu, w którym, zdawało się, kąta dla niej zabrakło...

Nagle cichy, miarowy, pełen harmonii rozległ się menuet i zawrotną melodyą płynął w powietrzu.

Stanio, usiadłszy przy pianinie z papierosem w zębach, grał teraz menueta, chcąc Trejnie zro-

bić przyjemność. Żydówka słuchała, śmiejąc się lekko.

— Aj, jakie to granie!...

Antoni zbliżył się ku niej.

— Tak, jak ja na harmonii.

Trejne usta wydeła z lekceważeniem.

— Także! Pan to brzęczysz, ale takie granie, to co innego.

Rozsiadła się wygodnie, wyciągając nogi, na których bielaly już poplamione pantofle.

Lecz Leon zwrócił się do Antoniego.

— Pan grywasz na harmonii?

Posesor cały spłonął ze wstydu.

— Tak... czasami — wybąkał.

— To ładny instrument—ciągnął Leon—zwłaszcza wygodny, można go nosić z sobą. Ja dawniej grywałem także, ale się w Pompei oduczyłem, bo mi zabroniono powietrze w harmonię wciągać. Takie są przepisy. Que faire!... force majeure!...

Antoni brwi zmarszczył.

— Wina pana; nie trza było do Pompei harmonii brać...

Leon usta zesnurował komicznie.

— Moc przyzwyczajenia! to mi już w krew weszło. Fatalité, rien de plus.

Czuł się złapanym i zmarszczenie brwi posesora niepokoiło go trochę.

— Pozwoli pani... — filizankę z rąk Trejny odebrał i na gierydonie ustawił.

— Nie stłuknij pan—upominała dziewczyna.

Tymczasem menuet wciąż dźwięczał, przejrzysty, elegancki, niosąc z sobą wspomnienia uścisków wypieszczonych rąk, obłoków pudru, sztywnych paniczów, stukotu czerwonych koreczków i przewrotnych miłostek. I powoli, jakby z po za mgły, framuga, w której stała Marya, zaczęła się zapelniać całym tłumem istot, w głąb zapomnienia wtrąconych, a które na drżących i arpedżowych akordach z głębi tej się wysuwały. Więc—na tle sali siemiatyckiego dworku mignęła ciotka Elżbieta, straszna, pobladła, z szeroką raną na piersi, zadana ręką Orchima; ciocia Leosia, cicha, dławiąca swą miłość dla Brunona; oboje Bukowscy w wiecznej z sobą rozterce; wreszcie ona, ona sama! Marya... zasluchana w tony menueta, płynące o szarej nocy listopadowej, wśród ponurych ścian ciemnej jadalni. I menuet ten, tak jak przed laty, motał się do koła jej serca, cichy, zalotny, a ścisłający jej wolę, jej umysł, jej duszę... żelazną uczucia obręczą.

Nagle, liście palmy zaszeleściły; wążka, ruda głowa Leona zażółciała pomiędzy zielenią.

— A... tu panią znajduję!

Marya drgnęła, nagle z myśli swych zbudzona.

Chciała wyjść z framugi, lecz już Leon wsunął się w zagłębienie, uchylając delikatnie gałęzie palmy.

— Sama i smutna? — zapytał z pieśczołą w głosie.

Ona podniosła na niego opuszczone powieki.

— Są chwile, w których się przenosi samotność nad otoczenie.

— Czy to jest kamień do mego ogródka?

— O!...

— Ależ tak, nie zaprzeczaj pani. Od początku obiadu obserwuję panią i widzę, że robisz wszystko, co można, aby wytrwać na stanowisku uprzejmej gospodyni domu.

— Zapewniam pana...

— Bez banalnych zaprzeczeń. Znam się trochę na fizyonomii kobiecej. Studyowałem tę gałąź... estetyki. Razi to panią, que nous faisons un peu la cour tej pannie Trejnie.

— Si vous lui faisiez la cour... to wasze prawo, lecz... gniewa mnie śmieszność, na jaką pan narażasz tę dziewczynę, wyciągając ją na słowa...

— Ja? ja sam?... Ależ Stanio i Antoni!

— Ach! ci dwaj, to rzecz inna, ale pan, pan!

Urwała nagle zniecierpliwiona, gryząc usta, jakby z pomieszaniem i zdenerwowaniem najwyższym.

Przenikliwe oczy Leona badały jej twarz, która w świetle zachodzącego słońca szarzała powoli, zarysowując się ciemniejszymi linjami.

— Byłażbyś pani zazdrosną?—zapytał powoli, jakby zapuszczając sondę w serce młodej kobiety.

Ona otwarła usta, jakby chcąc bezmyślnie zaprzeczyć, słowa uwięzły jej w gardle.

Milczała i tylko szeroko rozwartemi źrenicami patrzyła przed siebie, jakby słowa Leona nagle przed nią rozwarły przepaść, do tej chwili przed jej oczami zakrytą.

— Tak, jesteś pani zazdrosną, i to nie na żarty. Nie mów mi, że Trejne est un sujet indigne, że ubliża ci być zazdrosną o istotę tellement inférieure. Och! znane są te wybiegi, ktoromi zwykle maskujecie swoje zazdrosne smutki. C'est toute la lyre! I pani, vous avez beau à être la plus parfaite des femmes, masz serce zbudowane na wzór innych kobiet. A... więc jesteśmy zazdrośni... a!... c'est pschutt... być zazdrosną o męża po tylu latach małżeństwa! Epatant!

Kręcił głową, mrużył oczy, lecz po jego twarzy przebiegały jakby dreszcze niezadowolonia z odkrycia rany, jątrzącej się w sercu żony przyjaciela.

Lecz Marya zdawała się go nie słuchać, cała pogrążona w badaniu stanu własnej duszy.

Zazdrosna?... ona!... o kogo? O Trejnę! Lecz o co jej właściwie chodziło? Doznała już tyle smutków i upokorzeń, widziała już tyle kobiet, śmiejących się po za wachlarzami i flirtujących ze Staniem, spotykała go nawet czasem towarzyszącego na ulicy kobiecie, której nie знаła. W pierwszych latach konała z zazdrości, wpijając się paznogciami we własne ciało, aby nie wybuchnąć nagłym krzykiem zranionej w swych uczuciach kobiety; lecz z czasem ból ten słabnął, aż

wreszcie przeszedł w ledwo dostrzegalne szarpnięcie jakby iskry elektrycznej. Lecz dziś, rana dawno zablizniona otwiera się powoli, jad się sączy w tę ranę, w mózgu podrażnionym jakby początek biorąc, i ręce mimowoli zaciskają się, jak przed laty, krzyk dławi ją tak samo, tylko... tylko...

Ależ nie, to niepodobna! Tak nie jest. Nikt inny nie zajmuje jej myśli, oprócz męża, Tak, tak, to nic innego, tylko ten menuet przez Stania dla Trejny grany, drażni ją i do szaleństwa doprowadza! Tak!... menuet, nic innego. Trzeba od niego uciec, uciec jaknajprędzej. I nagle Marya odrywa się od ściany i śpiesznie odchodzi, zatrzymana jeszcze na sekundę słowem Leona:

— Ja wiem, dokąd pani idziesz.

Ona patrzyła na niego, odsuwając liście palmy.

— Idziesz pani do dziecka! Och! pani tam zawsze chodzisz, gdy cię serce boli. O! nie zaprzeczaj pani: boli cię serce, a takie, jak pani, kobiety, do pokoju dziecka się wtedy chronią. Prawda? idziesz pani do Jerzusia! co? prawda?

Do Jerzusia! tak, zapewne, tam powinna była schronić się oddawna i, patrząc w czyste oczy syna, szukać odegnania myśli, które się jej po głowie płaczą. Dlaczego jednak ona sama nie pomyślała o tem, i dopiero Leon podsunął jej tę myśl zbawienną?

Leon śmieje się, jakby uradowany z jej pomieszania.

— A! vous voila attrapéé!... Zresztą myśli tak czystych istot, jak pani, odgadnąć zawsze łatwo. Mąż, dziecko, et puis, dziecko, mąż!... c'est tout!

Pomieszenie Maryi wzrasta z każdą chwilą. Nie pojmuje dlaczego, ale zdaje się jej, że każde słowo Leona smaga ją, jakby uderzenie szpicruty.

— Weź mnie pani z sobą, ja także pójdę do Jerzusia!

Marya czuje, że odpowiedzieć coś musi, powinna.

— Wszak pana serce nie boli!

— Qui sait!

— Nie; serce pana istnieje, ale nie boli pana nigdy.

— Oui! oui! c'est convenu!... je suis un vieux blagueur, a pani jesteś aniołem!

— Pan nie jesteś blagierem, a mnie do anioła... daleko.

Rzuciła mu już te słowa na odchodnym, jakby początek nieśmiałego wyznania swej winy, której sama nawet zrozumieć nie mogła.

Przesuwała się przez salon, wlepiając oczy uparcie w siedzącego przy fortepianie Stania. Przechodząc, dotknęła suknią muślinów Trejny, która, wraz z Antonim siedząc na małej kanapce, zdawała się z roztargnieniem słuchać cichych słów narzeczonego.

Marya, cofnęła się, dotknawszy płachty białego jedwabiu, występującej ostro na tle ciemnego dywanu.

— Przepraszam—wyrzekła zdławionym głosem.

Z ręki Antoniego wymknęła się dłoń Trejny, jakby spłoszony ptak, i ukryła się w fałdach welonu.

Lecz Marya, nie odwracając głowy, była już przy drzwiach; zatrzymał ją chwilę głos męża.

— Wiesz, kto jest w Warszawie? Brunon! spotkałem go wczoraj koło hotelu Brühlowskiego. Ma być u nas jutro; okradli go znów podobno.

Marya lekko głową skinęła; słyszała już o tem od Leona... i cicho, jak cień, zniknęła za aksamitną portyera.

Tymczasem we framudze okna, Leon zajął szybko miejsce, na którym przed chwilą stała Marya. Z uśmiechem dziecinnego zadowolenia oparł się o ścianę, o którą niedawno oparte było ciało młodej kobiety. Ręce wsunął w kieszenie od spodni i, zmrużywszy oczy, wyszeptał:

— Que diable! jeszcze go kocha! c'est inoui!... Ten Stanio szczęśliwy!...

Wzrok teraz posłał w dal, w szyję ulicy, która się w szarawych mrokach powoli gubiła, znacząc się żółtymi plamami rewerberów gazowych, wypływającymi z mroku, jak gwiazdy, jedna po drugiej.

Leon stał tak chwilę, w ten szereg światła wpatrzony.

— Szczęśliwy!—powtórzył, cisnąc się jakby z pieszczotliwą chętką do ściany, o którą przed chwilą opierała się Marya.

.

Od tego dnia dziwne życie zapanowało w domu Stanisławowstwa.

Trejne, po długich rozmowach z Antonim, oświadczyła niezłomną chęć odwołania jeszcze dnia ślubu.

— Skoro „pani” tak dobra i chce ją zatrzymać u siebie, dlaczegoż się śpieszyć? Małżeństwo ją przeraża jeszcze. Potrzebuje się oswoić z nową swą sytuacją.

— Stracham się—mówiła, podnosząc na Antoniego swe wielkie źrenice—stracham się; ostaw pan jeszcze trochę czasu.

Miała w twarzy swej wyraz przewrotnej łagodności, jakby instynktem odgadła, czem zdoła ułagodzić lękliwą i melancholijną naturę narzeczonego. W tej dzikiej dziewczynie, w zetknięciu się ze światem cywilizowanym, ujawniła się doskonała kobieta, przewrotna i udawań pełna. Z oglady światowej ssła chciwie soki odurzające, sposoby usuwania się gładko z sytuacji niekorzystnych, a natomiast wsuwania się na teren dla siebie dogodniejszy.

Zasmakowała w życiu miejskiem, w gwarze

ulic, w turkocie powozów i oglądaniu się na nią przechodniów, gdy szła ulicą obok Maryi, w swym jasnym płóciennym kostymie. Nauczyła się nosić gorset, nacierać ręce gliceryną i spać w rękawiczkach. Gorączkowo rwała się do wszystkich zmian i ulepszeń swej postaci. Powyrywała sobie szczypczykami włosy zrastających się brwi i ani drgnęła, pomimo, że dotkliwy ból lzy jej do oczu cisnął. Z nowej religii zachowała tylko zwyczaj machinalnego żegnania się rano i wieczór i szeptania bezmyślnego pacierzy, które zresztą kończyła, lejąc glicerynę na dłonie i rozcierając tłustą ciecz na rękach.

Nie mogła się nigdy nauczyć otwierać parasolki i Marya zawsze skuteczniała tę czynność, z obawy złamania sprężyny. Mówiła teraz trochę ciszej i, śmiejąc się, sznurowała usta, jak panna służąca na weselu. Nie umiejąc czytać, nie rwała się do książek, ale bezustannie przeglądała ryciny i fotografie.

Przechodząc ulicą, z pogardą spoglądała na swych dawnych współwyznawców. Mówiła nawet „chałaciarz” i śmiała się z handlarza, który w swej zrudziałej kapocie po dziedzińcu się błakał.

Chciała gwałtem zapomnieć o przeszłości.

Nawet Antoni należał do akcesoryów dawnego życia i nieraz w jej oczach migał płomień niedobry na widok tego człowieka, z którym wiązało się wspomnienie karczemki wśród sosen

masztówek, jęczącej Tolczy, tańczącego w pry-
siudach Orchima, ojca, zesłanego do ciężkich
robót i całej nędzy potrząśniętej lachmanami
i szyszkami z cichym szelestem z gałęzi spa-
dającymi.

Lecz spryt i rozsądek nakazywały jej mil-
czenie. Porzucić Antoniego? odepchnąć? było
niepodobieństwem. Wiecznie siedzieć u Maryi
nie może, a jeśli Antoni ją opuści, gdzie pójdzie?
gdzie się uda teraz, gdy drzwi jej rodzinnego
domu na zawsze dla niej zostały zamknięte?

Z układnym więc uśmiechem, z wdzięcznym
laszczeniem się kotki, Trejne odwlekała dzień
ślubu i zamiast dawnej szorstkości, miała teraz
w odpowiedziach swoich wdzięk pieszczącej się
syreny.

— Trochę potem—prosiła, przytulając głowę
do ramienia Antoniego, który przed wyjazdem do
Horki przyszedł pożegnać się z narzeczoną.

On — smutny, przybity, szarpany złem prze-
zuciem, stara się obrócić twarz dziewczyny ku
sobie i spojrzeć jej prosto w oczy.

— Ale gdy wrócę, Trejne, gdy wrócę — nie
za długo — za miesiąc, za dwa może, powiesz mi
dzień naszego ślubu, naznaczysz go sama?

— Tak, tak, jedź pan tylko.

Nie patrzy mu w oczy, cała zasłuchana
w szmer, dochodzący z sąsiedniego pokoju.

Jest to gabinet, w którym kręci się elegan-
cka postać Stania, szukającego swej laski z główką
srebrną stylową à la Louis XV.

Stanio tymczasem odsuwa głośno fotel
i krzesła—od czasu do czasu rzucając okiem na
portyery zasunięte. Wie—że po za nimi Trejna
żegna się z narzeczoną.

— Que diable! tak długo! dokąd że tego
będzie?

Lecz Antoni nie przeczuwa, jak dalece jest
tu zbyteczny. Opaloną, spracowaną dłonią gładzi
włosy Trejny, nie mogąc się rozstać z ukochaną
dziewczyną.

Przed chwilą pożegnał Maryę, która, po-
dawszy mu dość sztywno dłoń, szybko wyszła
z pokoju. Umiał ocenić jej delikatność. Zosta-
wiła go samego z narzeczoną. To słuszne.
W chwili odjazdu tyle jest sobie do powiedzenia!

Jednak — zawsze wobec Trejny słowa mu
więzną w gardle. Nie umie mówić z nią, ani do
niej. Gdy jest sam—podnieca się w swej egzal-
tacyi, nadaje swej przyszłej żonie najśliczniejsze na-
zwy, jakie tylko wieśniak, rozmiłowany w swej
hołubce, szeptać może.

Wreszcie czuje, że odjechać musi. Po dro-
dze do Horki ma wstąpić i w innym powiecie
obejrzeć nadarżającą mu się posesyę. Termin
zjazdu z gospodarzem wyznaczony. W Horce
pozostać dłużej nie może, Brunon postanowił po-
osadzać majątki swoje posesorami żydami, którzy

mu lepiej na razie zapłacać. Na Horkę czyha Symeon Cytryna. Zresztą, Antoni chętnie się przeniesie, ze względu na Trejną, która „stracha się” i nie chce znajdować się w pobliżu rodziny.

Wszystko to opowiada Antoni narzeczonej urywanym, niskim głosem. Smutny jest, jak noc listopadowa, i ciężko mu dłoń swą od kędziorów Trejny oderwać. Ciężko mu opuścić ten salonik, w którym tyle godzin miłych, dzięki Maryi, przy boku Trejny spędził.

I w tej samej chwili uczuwa jakby żal podwójny, żal za Trejną dojmujący, dotkliwy, i żal za Maryą, mglisty, niewyraźny. Obydwa te uczucia opływają mu serce bezbrzeżnym smutkiem. Zdaje mu się, że pomiędzy temi ścianami, okrytymi purpurową draperyą, pozostawia w tej chwili wszystko, co mu przepelniało kiedykolwiek serce, i z pustką w piersi idzie w świat, gnany smutną koniecznością.

Więc, pomimo, że Trejne odprowadza go aż do drzwi wchodowych i, przewieszona przez poręcz wschodów, uśmiecha się doń, cała mieniąca się od jaskrawych barw, które przez szyby klatki wschodowej płyną, Antoni schodzi na dół smutny, z chłodem lodowatym pod czaszką. Czuje się sam! sam na świecie, pomimo tej dziewczyny, którą „swoją” przed chwilą nazywał.

Szybko, jak błyskawica, powraca Trejne do salonu i skrada się cicho ku portyerze, maskującej wejście do gabinetu. Prawie równocześnie

odchyła się zasłona i na progu ukazuje się Stanio ze znalezionej laską w ręku, której srebrna główka błyszczy, jak punkt na ciemnym tle szaf rzeźbionych, w głębi gabinetu się ukazujących.

— Pojechał?

— Tak, jedzie!

— Cóż... bardzo smutno?

Trejne usta przygryza, nie wiedząc, jaką ma przybrać postać.

— My... pocieszymy!

Delikatnie ręka Stania przesuwają się po włosach Trejny, w tem samym miejscu, gdzie przed chwilą z jakąś opiekuńczą troskliwością spoczywała spracowana dłoń narzeczonego.

Dziewczyna jednak nie usuwa głowy przed tą pieśczętą.

— Tylko nie trzeba być smutną — ciągnie dalej Stanio z lekkim, zaledwie dostrzegalnym drzeniem — trzeba się śmiać, bawić i trochę kochać... swoich przyjaciół.

Ręka mężczyzny osuwa się powoli wzdłuż opuszczonych do dołu warkoczy i zatrzymuje się w pół pleców, jakby badając, czy drgnie z obrazą pod wpływem tej śmiałej, choć na pozór prawie ojcowskiej, pieśczęoty.

Lecz ona stoi ciągle przed nim, teraz trochę w tył przegięta, przybierając tę samą pozę, którą w lesie pod jodłami wabiła ku sobie Antoniego, lub w półcieniu karczennym ocierała się o drepającego przed ogniem Orchima. Pomimo dobrze

skrojonej etaminowej sukienki, nawlekanej lila sznelą, ma w sobie urok wół dzikiej istoty. Włosy jej zachowały zapach ostrej woni macierzanki, świeżo skoszonej. Zapach ten otacza ją zawsze i wszędzie, pomimo flakonów wody kolońskiej, które na siebie wylewa. Tę samą woń miały włosy Maryi, gdy sploniona i drżąca zdejmowała z siebie biały welon oblubienicy.

I bezwiednie niemal żydówka przysuwa się coraz bliżej do chylącego się ku niej Stania.

— A trudno będzie pocieszyć? — pyta mężczyzna.

— Trudno! — śmieje się dziewczyna, prezentując swój profil, który w połowie oświetlenia, z okien płynącego, rysuje się najdoskonalej, jakby delikatnie z papieru wycięty. Przymyka oczy, czując tuż na swych włosach oddech mężczyzny; nagle — puszczona przez silnie opierającą się przed chwilą o jej plecy rękę, cofa się mimowolnie kilka kroków.

Na środku pokoju, w świetle Rembrandta się znacząc, stoi Jerzusz z małym biczykiem w rączce, stoi i wielkimi oczyma patrzy na ojca, który ze zniecierpliwieniem na niego spogląda. Wszedł przed chwilą cichutko, drepcąc po dywanie, wyprzedzając matkę, którą pozostawił smutną, lecz gorączkowo włosy fryzującą. Maluchne jego serduszko uczuło się nagle jakby osamotnione w tej atmosferze smutku i jakiegoś nerwowego podrażnienia, które od dni kilku wszechwładnie

zapanowało w ich domu. Teraz znów papa jego tulił do siebie tę pannę, która przerażała go olbrzymią czernią oczu i szorstkim, zdławionym dźwiękiem głosu. Nie lubił Trejny, nie mógł się do niej przekonać, pomimo, że dziewczyna, chcąc zjednać sobie Maryę, udawała chwilami czułość dla dziecka, w którego pokoju sypiała na wstawionem pośpiesznie żelaznem łóżku. Instynktem jakimś wiedzione dziecko zatrzymało się cicho na środku pokoju i z pod brwi zmarszczonych patrzyło na ojca, obejmującego Trejnę. Głęboka bruzda przecięła mu nagle małe czoło. Jakaś trwoga opanowała jego maluchny umysł... czuł, że jest w tej chwili niepotrzebny i lękał się odezwać. Milczał i wciąż ruchy ręki ojca śledził. Z nim, z Jerzusem, papa się tak nie bawił; dlaczego więc tę pannę gładzi po głowie i do siebie przysuwa?

I nagle głos ojca, groźny i gniewny, rozległ się po nad małą spłoszoną główką:

— Dlaczego Jerzusz po pokojach biega? czy nie ma swego pokoju?

Jerzusz, bacik z ręki wypuścił i stał jak wryty, lykając szybko ślinę. Często tak po pokojach biegał, a nigdy się na niego za to nie gniewano. Dlaczego teraz właśnie? Lecz już drzwi od pokoju Maryi otworzyły się i z po za uchylonej portyery wysunęła się ona sama, wykwinicie ubrana w domowy strój z jasno lila wełny, haftowanej ciemniejszym szutazem. Włosy,

nizko na plecy opuszczone, miała związane jedwabną miękką plecionką; a z pod roztwartej hiszpańskiej westki wysuwała się jedwabna, barwy heliotropu, bluza, w licznych fałdach do dołu spadająca.

Szła prosto ku Staniovi, zapinając na rękę szeroką obręcz z oksydowanego srebra, w której migwały bladym blaskiem duże ametysty.

— Czy wychodzisz przed obiadem, Stanio?— zapytała łagodnym głosem, unikając jednak spojrzenia prosto w oczy mężowi, jakby z trwogi, aby on jej zaczerwienionych powiek nie dostrzegł.

Lecz on, zirytowany, iż mu przerwano słodkie sam na sam z Trejną, wskazał z gniewem na Jerzusia.

— Dlaczego dziecko po pokojach biega? To niewłaściwe!

Znając Maryę, sądził, że, urażona, weźmie syna za rękę i oddali się z nim w głąb mieszkania. Lecz ona zadzwoniła, i zbliżywszy się do dziecka, na ziemi przyklękała.

— Jerzusz pójdzie do swego pokoiku — wyrzekła z pieszczotą — Jerzusz się odtąd tam bawić będzie.

Chłopczyk nie odpowiedział nic, posłuszny i cichy. Czuł, że jakaś zmiana następuje w życiu rodziców, i on — Jerzusz, powinien starać się być jaknajmniejszym, zniknąć prosto z widowni.

— Idź, synku!

We drzwiach pojawiła się zuchwała głowa niańki.

— Idź, moje złoto!

— Idziesz, mamusi!

I, ciągle nachmurzony, nieufny, z tą kreską, która jak pręga przecinała mu wysuwające się z pod ciemnej grzywy czoło, podreptał w stronę swego pokoju.

Tymczasem Marya z uśmiechem zbliżyła się do męża.

— Nie miałbyś zamiaru wyjechać dziś ze mną za miasto?

Głos jej był niepewny, jakby sztuczna swoboda, na którą się silila, była dla niej ciężką ofiarą.

Stanio patrzył na nią zdziwiony.

Od pamiętnej chwili w Bazarze, gdy, usuwając się od jego dotknięcia, milcząc, dała mu do poznania, że nigdy nie przebaczy mu swego opuszczenia, po raz pierwszy przychodziła ku niemu, strojna, uśmiechnięta, jakby ofiarowując się nagle cała, bezpodzielnie, w przebaczeniu bez granic. Snać postanowienie przygarnięcia się do jego boku powstało w niej nagle i objawiło się pod wpływem jakiejś przerażającej, a niewyznanej przed nią samą myśli, którą pragnęła żegnać, chroniąc się w objęcia męża.

Lecz on dziś nie pragnął i nie pożywał więcej tej żony, do której boku cisnął się kilka mie-

sięcy temu. I gdy tak stanęła teraz przed nim z uśmiechem, cała spowita w delikatne liliowe draperye, zdawało mu się, iż pod tym uśmiechem kryje się jakaś despotyczna chęć objawienia swych praw małżeńskich, o których oboje od dawna zapominać się zdawali.

— Jeżeli sobie życzysz, pojedziemy—odparł, z kurtuazją skłaniając głowę—tembardziej, że panna Trejna chętnie odetchnie świeżem powietrzem.

Patrzył w stronę żydówki, która niedbale przerzucała stos rycin, zamkniętych w ciemnych ścianach olbrzymiego kartonu.

Wzrok Maryi pobiegł za oczyma męża i w głębi jej duszy targnęła się nagle struna niechęci.

Z radością prawie analizowała Marya ten głuchy i niewyraźny ból, który drżał w głębi jej istoty. Cierpi na myśl przerwane sam na sam z mężem! cierpi patrząc na tę dziewczynę, w której wzrok Stania tonie!

Kocha jeszcze męża!... jest uratowana!

Lecz pragnie zgłębić lepiej stan swej duszy, pragnie sama, zatopiwszy nóż, obracać go w ranie, aby czuć bardziej jej istnienie.

I, powściągając lekkie drzenie głosu, zwraca się w stronę żydówki.

— Naturalnie! Joasia będzie nam towarzy-

szyc; zdaje mi się, że pobladła, biedna dziewczyna.

I, zbierając całą siłę woli, spogląda w twarz żydówki, ciesząc się pchnięciem sztyletu, jaki w samo serce odbiera, gdy czarne źrenice Trejny nagle wlepione w Stania spotyka...

XVI.

Dwukrotnie już Kuliczkowa okradła Brunona. Wyciągnęła mu raz pieniądze z pod siennika, raz znów z szufladki stolika, w którym czasem zamykał swoje sakwy z miedziakami, zanim je na srebro i papierki zdołał zamienić.

Nie pomogły perswazyje, prośby i groźby Brunona, nie pomógł nawet wielebny ksiądz Majner z katedry, który na usilne błaganie Brunona próbował zmiękczyć sumienie małżonki Kuliczka. Na wszystkie te pukania do zatwardziałej duszy, baba odpowiadała niezmiennie:

— Ja nie wzięła!

Kupiła sobie jednak na zimę nową świętą, a Kuliczkowi niezły kozuch.

Zapytywana z kąd ma pieniądze, mruzczała wzdychając ciężko:

— O! Pan Bóg dał.

Powoli rozzuchwalała się, poglądała pod oknami pałacu, snuła się, jak cień za piętnami grafa, gdy przyszedł do piekarni, ocierała się

o jego suknie niby przypadkiem, w gruncie dla wybadania' czy nowa fala miedziaków nie wpłynęła do grafowskiej kieszeni.

I nagle Brunon zląkł się tej pokornej służki, którą objadał bezwstydnie, zaglądając do garnka z krupnikiem, liczył poukładane na desce świstuny, maczał brudne palce w hladyszkach ze śmietaną.

Dziś, baba ta płaciła sobie sama za podawane mimo chęci miseczki barszczu, kartofli, chłodzcu, pampuszków lub kapusty, zabelonej serem. Stwe jej źrenice, małe i niechętne, sięgały jeszcze dalej, het, aż do worka z ciemnej, cuchnącej skóry przyklepionego do grafowskiej piersi...

Brunon zląkł się i po długich namysłach postanowił wyjechać.

Nic go do tej chwili z Zabijanika poruszyć nie mogło. Nienawiść żydów, niechęć chłopów, bał nawet pamiętna wśród grudy jesiennej szalona pogoń po lesie, pogoń na huzarskim koniu, w czasie której, jak drugi Mazepa, z rozkrzyżowanymi rękoma wśród gałęzi leśnych, co mu twarz kaleczyły, pędził Brunon, przywiązany do białego tułowia zwierzęcia rękami chłopca i żydów mścicieli.

Ostał się przed tem wszystkim, ostał w pustych ścianach Zabijanika, barykadując się na noc szafami, kuframi, szaflikami, nie wyjeżdżając już prawie po za granice swego majątku.

Śmierć Leontyny nie dotknęła go wcale. Umarła—tem lepiej; ta cicha, gorąca miłość starej panny ciążyła mu trochę. Miał w sobie cień dawnej galanteryi i nie mógł brutalnie nakazać milczeć tej bladej istocie, która, spotkawszy się z nim sam na sam, szeptała doń poufale słowa, mówiła mu po imieniu, słowem, z uporem maniaka, chciała przez lata całe, aż do śmierci, ciągnąć sielankę dwojga serc młodych.

Lecz zamordowanie Elżbiety wstrząsnęło nim do głębi. Co mnie dziś, jutro tobie! zdawał się doń mówić cień Szeniewieckiej, której życie było do jego tak silnie podobne. I naokoło Elżbiety znajdowali się ludzie: Marya, Bukowscy, Władysławowa, gdy on sam jeden, w ruinach pałacu, jak puszczyk w szczątkach zamku łuckiego. Po prostu znajdował się na łasce złoczyńców.

Kradzież, popełniona przez Kuliczkową, dopełniła miary. Skoro go okradają, mają już złe myśli i te mogą szybko wzrosć w wykonalne fakty. I z coraz wzrastającą trwogą zaczął Brunon śledzić ze swego okna piekarnię, która do ziemi strzechą słomianą i czerniałą przypadłszy, zdawała się śledzić złowróbnym okiem białe ściany pałacu i liczyć kolumny perystylu, sterzące zimno i obojętnie, jak złe płatne strażę, naokoło gnijących w ziemi skarbów. I ten, który bez trwogi prawie spoglądał w oczy zawiścią palających żydów, liczących mu ruble na odłamie stoliczka senatorowej, teraz uciekać postanowił

przed chciwymi żrenicami baby, która z pod swej żółtej, na bakier przykrzywionej chustki, śledziła go bacznie i co chwila zdawała się wyciągać swe zakrzywione, pomarszczone palce, dla zgarnięcia ukrytych gdzie w kącie pieniędzy.

Przytem zdrowie Brunona pogorszyło się znacznie. Kradzieże Kuliczkowej, nocna forsowna jazda przez las i drogę wiodącą do miasteczka, w którym dopiero ludzie, do konia zbroczonego krwią przypadłszy, na wpół żywego grafa z grzbietu zwierzęcia zdjęli i u Szymka w gościnniej stancyi złożyli, wszystko to przybiło nędznie odżywiane ciało starca i sprowadziło mu długą i ciężką chorobę. Dziś, dźwignąwszy się z niej, śpiesznie do Warszawy się wybrał, nie tyle dla leczenia swych kamieni żółciowych, ile dla uniknięcia bezustannego zetknięcia się z Kuliczkową, Orchimem, żydami i całą bandą.

I nagle, gdy ujrzał Warszawę, tryumfalnie różściełającą się w smugach gazu, uczuł krew żywiej poruszającą się w żyłach; coś się budziło w tym skorupiaku, żyjącym wśród blaszanek kwaśniejacego mleka w galerii Zabijanika i saku z miedziakami, które mu nogi obijały. Niejasne wspomnienie mamy senatorowej, jej dystynkcji, księżniczki Hohensteigen Sigmarigen, która kiedyś, w Dreźnie, raczyła go zaszczycić platonicznymi względami, zamajaczyły we mgle rewerberów mostu, który, jak cudna siatka, dzieło pająka-po-

twora, nad ciemną, zaledwie gdzieniegdzie świetlanym punktem przeciętą Wisłą, się rozwieszał.

Brunon przechylił się na siedzeniu dorożki, która wiozła go od kolei. Po za czarną przepaścią rzeki wychylało się miasto, pnąc się ku górze, kolosalne, najeżone migającymi szczytami, które rozplywały się w czerni. Lecz już dorożka wjeżdżała na most w szufladę belek stalowych, nabijanych gwoździami, skrzyżowanych jak potworne rusztowanie, oczekujące na robotników gigantów, świętujących w oddali. Z przytłumionym, miarowym turkotem warczały koła dorożki, a Brunon doznał nagle niepewnego wstrząśnienia, które przenikało go ciągle powracającym i nieustannym dreszczem. Tymczasem po nad nim zamykało się sklepienie mostu, jasno odcinając się na ciemnym tle nieba, zasianego gwiazdami. Od wody wiał chłód wilgotny, nie mający nic wspólnego z tłustawą wilgocią, płynącą z koryta pokręconego Styru. Wilgoć ta miała już w sobie coś z korupcyi miasta.

Brunon szeroko nozdrza otworzył i wilgoć tę w siebie wciągał, a wspomnienie Drezna, wyziewów Elby, miękkiej dłoni księżniczki, zarysowało się wyraźniej przed oczyma jego wyobraźni. Pod jedwabną pelerynką, skurczone serce starego egoisty rozpoczęło nagle niewyraźną tarantellę, a wyobraźnia, wyschła i zczerniała, nagle rozciągać się zaczęła w tych podniecających oparach, które z rzeki, okrążającej miasto, pły-

nęły. I jakby nagłą determinacją zdjęty, Brunon końcem perkalowego parasola dotknął pleców dorożkarza.

— Gdzież ty, serce, mnie wieszysz? ha?

— Do hotelu.

— A wiesz ty do pięknego, ale niedrogiego.

— Ha, no to do Europejskiego.

Dorożkarz machnął biczem; walizka Brunona, odarta ze skóry, powiązana postronkami, posklejanemi smołą, nie budziła w nim zbytniego szacunku.

Powoli wdrapywać się teraz zaczęli na Zjazd, staczający się dość ostro ku Wiśle, obramowany z prawej strony ciemnymi murami zamku, który swe płaskie tarasy daleko rozciągał.

Po lewej ręce ujrzał Brunon olbrzymią masę, jasno oświetloną i prawie jakby przejrzystą, parowej łaźni, i obok spowity w cień fronton tak zwanego Folwarku szkoły realnej. Lecz już linia murów urywała się nagle i, jakby jarząca przepaść, otwierała się olbrzymią szczeliną, w której Maryensztadt powoli zapalał się nieprzeliczoną liczbą czerwonych świateł. I był to jakby tor kolejowy, iskrzący się całą masą ogieńków niepewnych, urywanych, po relsach biegających. Tor ten łagodniał ku górze, ciemniał powoli i zlewał się wreszcie w zupełną cień, z której olbrzymią masą dźwigał się kościół bernardyński, rozsiadły w półkole, z potężną kwadratową dzwon-

nicą, na froncie zamieniający się w budowlę o porządku korynckim, z domieszką barocca.

I nagle na plac Zamkowy się wydostawszy, dorożka szarpnęła w bok, pozostawiając poza sobą płaszczyznę placu, ogrodzonego tłumem wązkich, jakby pochylonych kamieniczek, pnących się wysoko ku górze, labirynt Podwala, niksącego w dali, jakby strumień brudny i kręty i, w szeroką strugę Krakowskiego Przedmieścia wpadłszy, przemknęła koło domu Roeslera, stojącego jakby na straży świeżej szczyrby Nowo-Miodowej ulicy. Minąwszy następnie przed oczyma Brunona białym posągim Bogarodzicy w klombie zieloności ukrytym, z okiem białej latarni u góry, po przesunięciu się przed ciemnym frontonem karmelitów, czarnym, ciężkim, trójkątem zakończonym, mającym obok całą linię świateł drobnych okienek gabinetów restauracyjnych, zwolniła trochę biegu. Naprzeciw, po za kratą, nad którą sterczące latarnie długą, żółtą rzuciły smugę, bielił się pałac, zasloniony w części pawilonem wystawy sztuk pięknych, który zdawał się pełzać po ziemi, jak zwierzę, za kratą klatki ukryty.

I nagle konie szarpnęły kilkakrotnie silniej, wpadając z półcienia w jasny obrus światła, rozslany po magnacku przed podjazdem Europejskiego hotelu. Na dole za wielką lustrzaną szybą, jak potworna toaleta damska rozkładał się przepych migocących flakonów, puszków z pu-

drem, odświeżaczy i wreszcie jak węży zwiniętych i lśniących warkoczy włosów czarnych, blond, rudych, w których gaz migocące zapalał iskierki. Drzwi otwierały się od czasu do czasu, przepuszczając kobiety, osłonięte długimi płaszczami, z pakietami w rękach, które na progu zatrzymywały się chwilę, jakby dla nabrania świeższego powietrza. Czasem przemknęła się pośpiesznie postać mężka i niksnęła w jasno oświetlonym wnętrzu sklepu.

Dorożkarz zatrzymał konia.

Z głębi bramy wybiegli już posługacze. Jeden chwycił walizkę, usiłując odnaleźć dawno oderwane ucho, drugi wysadzał z szacunkiem Brunona, który oczy mrużył, oslepiiony nagle powodzią blasku, w jakiej gmach hotelu się pławił.

W głębi białej prawie od światła bramy, szwajcar „na gościa” dzwonił. Po prawej u szklanych drzwi kantoru pojawiła się już wyniosła, silna postać mężczyzny w czarnym fraku, mierzącego wprawnym okiem zdejmowane z kozła bagaże.

Jak kula wtoczył się Brunon do bramy i stał teraz przed wyfrakowanym mężczyzną, który z niewzruszonym spokojem na jedwabną mantyllę, fruwającą dokoła grafa, spoglądał.

— Jedna osoba?

Brunon niespokojnie na strojnego a poważnego jegomościa spojrział.

— Jaż jeden, panie mój.

— Numer osiemdziesiąty pierwszy, albo drugi.

Brunon oczy ciągle mrużył i z nogi na nogę przestępował.

— Jaż bo jeden, zaczął znów, a głos mu lekko drżał ze wzruszenia;—dajcie, jeśli łaska, małą ciupeczkę, byle nie kosztowną, ot, byle gdzie głowę złożyć.

Pan we fraku ani drgnął.

— Numer sto osiemdziesiąt drugi.

I we drzwiach szklanych kantoru, jak duch czarny, zniknął.

Za chwilę Brunon siedział na aksamitnej kanapce małego numeru hotelowego, wpatrzony smutnie w palącą się żółtawoniebieskim płomykiem świecę. Gorączka komfortu i piękna ominięło go chwilowo i teraz graf rozliczał w przybliżeniu, ile kosztować go będzie każdy dzień pobytu w mieście. Brak taksy na drzwiach numeru niepokoił go silnie. W tem musi coś być, jakaś nieczysta sprawa. Postanowił mieć się na baczności, oszczędzać się, o ile możliwości. Chciał zgasić świecę, lecz przypomniał sobie, iż z czterech chustek do nosa, jakie posiadał, nie miał ani jednej czystej. Zamknął drzwi na klucz i na zasówkę, zsunął pelerynkę, kraciastą kurtkę, zdjął perukę, zawiesił ją na kółku i, wydostawszy z kieszeni wielkie płachty z kolorowego perkalu, nalał sobie wody na miednicę. Wprawnie zakasawszy rękawy brudnej koszuli, rozpoczął swą pra-

cę, sapiąc, pluszcząc, rozlewając wodę na marmurowy blacik umywalni.

Nagle przededrwi zamknięte, a prowadzące do sąsiedniego numeru, których Brunon nie zauważył, rozległ się gniewny głos.

— A cóż się tam dzieje, u dyabła? pułk dragonów się kąpie, czy co?

Brunon wyżymał właśnie już uprane chustki i, cicho strzepnąwszy, rozwieszać je zaczął na poręczach aksamitem obciążonych karłów.

Woda kapiała z perkalu na aksamit i, spływając w pikowanie, gromadziła się dokoła guziczków.

Tymczasem Brunon z uśmiechem zadowolenia świecę zgasił i cichutko do łóżka przekradać się zaczął.

— Brunonku, serce, kochanie, ty ze swych dobrych cnót się nie karaskaj, też pomyśl, lubko serdeczna, w co by się ty obrócił, żeby ty w ręce takiego franta popadł, jak ten na dole, co ni-by na bał umuskany w bramie sterczy, a pocziwych ludzi w jakieś osiemdziesiąte pokoje chce wpakować! Musisz to od złota kapać w takiej stancyjce, kiedy tu osiemdziesiąty, a taki aksamit, marmury, a listwy pozłacane wedle sufitu leżą! Taki za te aksamity płacić trza! *gotiu* Brunonku! *gotiu*! Ty to w uwadze miej i niech ci po głowie nie pstryka, serce lubenko, bo możesz z torbami pójść. Chustki pierz, ta koszulkę takż chędożnie na miseczce przepłukać po no-

cy możesz. Wedle choroby ty przyjechał, a graf ty także, to w byle jakiej dziurze mieszkać nie możesz. A co ty lubku jesz, to nikt nie wie. Co ty na miseczce płuczesz i na fotelikach suszysz — nikt nie wie. Ale gdzie ty stancję masz — kaźden wie. O!..

Po materacu i poduszce pomacał.

— Niema co! miętko i miło. Byle tylko bezpiecznie. Kto tam wie, jaki to czorcik za temi drzwiczkami siedzi. Grubo gada i od dragonów wymyśla; taż zły musi być jakiś i zabijaka!

Teraz worek skórzany na piersiach wiszący silnie obydwoma rękoma cisnął.

— Kto się w opiekę poda Panu swemu...— mruzcąc zaczął i długo w noc zasnąć nie mógł, cały zgorączkowany, silnie podrażniony zmianą miejsca, ujraniem w migotliwym świetle gazu miastem, lekkim [wspomnieniem księżniczki i trwogą o spoczywające na piersi pieniądze.

Szary świt, wkradający się przez zapuszczone story, zastał jeszcze czuwającego Brunona, który żółkły, pomarszczony, leżał wśród bieli poduszek i prześcieradeł, świecąc w niepewnym świetle łysą, lśniącą czaszkę.

.....

Jak pijawka tak się przyczepił do nieszczęsnego grafa Leon, znajdując dziwną rozkosz w dokuczaniu skąpcowi. Poznał go u Stanisła-

wów i od tej chwili był nieodstępny attaché przy boku Brunona.

— Pilotować będę hrabiego po mieście — mówił z uśmieżkiem, przyciskając na tytule z przesadzoną atencją.

Włóczył Brunona po mieście, po spieczonych flisach, odkładając swój wyjazd do Ostendy z dnia na dzień, pod pretekstem niemożności pozostawienia grafa na lasce losu, w wirze miasta, wśród operetkowych wrzasków, wydzierających się z łona uiluminowanych ogródków.

— Krew nie woda — mówił, mrużąc oczy — hrabia w swych mantylionikach masz cachet artistique! Jak ćmy mogą do ciebie przylgnąć artystki lub woltyżerki.

Brunon silnie zaprzeczał.

— Serce, lubeńko, ja stary, opancerzony.

Leon ramionami wzruszył.

— Cóż to za starość? L'été de Saint Martin, hrabio. Niejeden młody chciałby mieć twój pschutt. Jesteś jeszcze vłan i zobaczysz, jak się zreenpilotujesz tutaj pod mojem skrzydłem.

Marya, litością dla Brunona zdjęta, usiłowała upominać Leona.

— Pozwól mi pani — odpowiadał jej wtedy — pozwól mi się bawić serdecznie. Ja tak rzadko się bawię prawdziwie.

Młoda kobieta spojrziała na niego zdziwiona.

— Pan zawsze zdajesz się bawić wybornie.

— Doskonale pani powiedziałaś: pan zdajesz

się bawić! Tak! tak! ja zdaję się bawić tylko... nic więcej!...

— Cóż to, melancholia?

— Jamais! mam wstręt do tej choroby. Seulement il y a des moments... zresztą, enfin... bref... passons!...

I menuetowym krokiem już ku Brunonowi sunął.

— Hrabia masz dzisiaj twarz weselszą i świeższą odemnie!... Oh! oh! heureux gaillard!

Za chwilę szli bras dessous, bras dessus — po ulicy, a ludzie stawali gromadkami, patrząc z podziwem na kratkowany ubiór Brunona, jego pelerynę z jedwabnej mantyny, mieniającą się w słońcu, jak skrzydła olbrzymiej muchy.

Leon nie pozwolił mu przebrać się w strój modniejszy. Dusząc się ze śmiechu, on, zupełnie korrekt w swej granatowej marynarce, jasnych, szerokich spodniach i angielskim o maluchnem rondku kapelusiku, prowadził pod rękę drepzącego obok siebie zabijanickiego grafa, budzącego ogólny podziw w beczynninie włóczących się przechodniach.

— Pasyami lubię po ulicach flanować. A ty, hrabio?

Brunon oczy zmrużył.

— Pięty mnie trochę bołą.

— Idź hrabia na palcach. Ça réussit quelque fois.

Przechodzili teraz obok kościoła Kapucynów.

— Czy to kościół, serce?—pyta Brunon.

Leon szybkę w oko wrzucił.

— Kościół.

— Wstąpmy; nie robiłem dziś jeszcze moich dewocyi.

— Chodźmy.

Weszli teraz na schody, które podwójną wstęgą na chodnik płynęły.

— Cóż to za kościółek, serce?

— Kapucyński.

— A... a!..: to tu jest święty Feliks, któremu mama senatorowa w opiekę mnie oddała.

— Nie wiem, ale prawdopodobnie.

— Toż, serce, poszukajmy.

Weszli do kościoła, który cały w cień i chłód spowity, zdawał się odpoczywać po jakiejś nużącej pracy. Drewniane sztachety dzieliły kaplice od głównej nawy. W oddali migotał płomień purpurowej lampy płonącej.

Za chwilę szli znów po ulicy, zalanej jaskrawym światłem słonecznym, prześladowani natrętami spojrzeciami przechodniów.

Co rano do numeru Brunona pukał Leon, przynosząc grafowi na dzień dobry stopy dzienników krajowych i zagranicznych, w których wiadomości o morderstwach i kradzieży podkreślone były czerwonym ołówkiem.

Brunon słuchał tych wiadomości, stękając i pomadując na kolanie rozpiętą perukę. Czasem,

włożywszy na nos binokle, zaszywał popsute man-
tyny i jedwabie, wywłócząc co chwila igłę.

Leon, rozparty na kanapce, zniżał głos
i z miną poufną czytał ciągle przerażające sceny.

— W tych dniach, w Asnières pod Paryżem
zamordowano w okrutny sposób starca w celu
kradzieży.

Brunon oczy mrużył.

— Zamordowano, powiadasz?

— Zakłuto, jak prosię i ze skóry odarto. Ze
skóry tej zbrodniarze dla zatarcia zbrodni, zrobili
z piekielną zręcznością eleganckie portmonetki,
w które powkładali pieniądze, pochodzące z ra-
bunku w domu zamordowanego.

— Portmonetki, serdeńko?

— Takie szczegóły podaje „Gil Blas”,
„Evenement”, „Eclair” „Matin”, „Echo”, „Intran-
sigeant”, „Voltaire”, „Figaro”, „Petit Journal”,
„Siècle”, „France”, „Petit Parisien”, „Etendard”...

— Dosyć, dosyć, wierzę.

Leon ręce w kieszenie od spodni wpakował.

— I pomyśleć, że dziś, jutro mogłoby się to
mnie, albo tobie, hrabio, przytrafić, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdybyśmy mieli przy sobie znaczniejsze
sumy.

Twarz Brunona przeciągała się i szarzała
z przestrachu.

— Tak myślisz, rybko?

— Jestem tego pewny.

Od pewnego czasu jednak dobre stosunki,
trwające pomiędzy Leonem i Brunonem, naprę-
żyły się cokolwiek.

Powodem tego był żart, jakiego się dopuścił
Leon, wezwawszy anonimem sześć starych dewo-
tek do numeru, zajmowanego przez Brunona,
w którym, wedle słów listu, miał się znajdować
ich bogaty, a świeżo z Ameryki przybyły krewny.

Ciemno ubrane kobiety zjawily się równo-
cześnie w hotelu i przez kilka minut Brunon,
który właśnie zajmował się maglowaniem chustek,
owiniętych w karafkę, zniknął poprostu w powo-
dzi pisków kobiecych, czarnych welonów i rąk,
błagalnie ku niemu wyciągniętych.

Powoli jednak Leon zdołał się znów wkraść
w łaskę zabijanicznego grafa wskazaniem mu źró-
dła papierowych kołnierzyków i mankietów. Gu-
mowe, według Brunona, były jeszcze za drogie,
a i tak w tej Warszawie pieniądze poprostu pły-
nęły! płynęły!

— Ot, to, lubku, ani się obejrzyysz, jak ko-
piejeczka za rubelkiem goni. Kichniesz, już ci
ktoś nad karkiem stoi, ta płacić sobie każe. Nogą
skrobiesz po kamiuszczku—płać... Z torbami na
wiesz wrócić przyjdzie.

— Ale hrabia użyjesz cokolwiek życia! Zre-
enpilotowałeś się d'une façon exceptionnelle.
Cera zdrowa, oko błyszczące, c'est inouï, jak
miasto pana animuje. Stajesz się poprostu nie-

bezpiecznym. Ja, ja! je suis écrasé par vous, écrasé complètement.

Skąpiec ukradkiem w lustro zawieszzone nad komodą spojrział.

— Wolne żarty, trzy ćwierci do śmierci.

Leon wybuchnął śmiechem.

— Chyba do życia i użycia.

— Eh! eh! eh!

Nagle ktoś do drzwi lekko zapukał.

— Entrez!—zawołał Leon.

We drzwiach ukazał się Stanio.

— Ach! soyez le bienvenu—i Leon rękę do przyjaciela wyciągnął — potwierdzisz moje słowa. Hrabia się z każdym dniem odmładza.

— O! tak, bezwątpienia.

Nowoprzybyły roztargnionym wzrokiem dookoła spozierał.

— Hrabia wychodzisz?—zapytał Brunona.

— Na herbatkę, do marszałkowej Omelczukowskiej. Wiecie, z Rowieńskiego.

— Vous allez faire des victimes.

— Eh! eh! eh!...

Stanio do Leona się zwrócił.

— Szukam cię od rana.

— O cóż chodzi?

— Chciałem, byś nam do teatru towarzyszył. Te panie już pojechały.

— Które panie?...

— Jakto?

Leon wiewiórczą swą twarz w komiczny sposób skrzywił.

— Bo z tobą nigdy nie można być pewnym. Powiesz — te panie, myślę, że zobaczą Dolly... pa! wpadam na Jankę, której widzieć wcale nie pragnę.

— Żarty nie na miejscu. Mówię w tej chwili o Maryi.

— O której?

— Jakto, o której?

— Assurement o której? Jest Marya numer pierwszy... numer trzeci, ta... Marion numer drugi i Maniś słodka z corps de balletu. Czy tak?

Stanio niecierpliwie brwi zmarszczył.

— Zaprześtań tych dowcipów. Jestem dziś w teatrze z żoną i chcę, ażebyś nam towarzyszył.

— Tiens! tiens! a do czegoż ci jestem potrzebny?

Stanio nic nie odpowiedział.

Z roztargnieniem zdawał się śledzić ruchy rąk Brunona, który delikatnie nakładał na swą łysą czaszkę pocerowaną perukę.

— Co hrabia robisz z Horką?—zapytał nagle, o kant komody się opierając.

— Cóż robić kochaneńki! Antoni odchodzi, żyda poszukać przyjdzie.

— Cytryna podobno masz hrabia na oku.

— Cytryna, duszko. Niezły posesor, płaci rzetelnie...

— Właśnie miałem na niego zamiary. Chcia-

Iem mu Siemiatycze wypuścić. Widzę, że Smotrycki kradnie. Wolę posesora; hrabia mi Cytrynę odbierasz.

— Szmul, lubko, innego ci wyszpera.

— Dziękuję! Da mi kogo z rodziny.

— To cóż robić serdeńko. Już Siemiatycze się niemi na przepadłe obstawily. Chcesz, nie chcesz, musisz z poręki Szmula wziąć.

— Wolalbym Cytrynę.

Leon nagle z kanapy powstał i, ciągle trzymając ręce w kieszeniach od spodni, ku rozmawiającym podszedł.

— Dlaczego ty, Staniu, majątek w posesyę wypuszczasz?—zapytał, bystro w oczy przyjaciela patrząc.

— Rządca mnie okrada.

— Dlaczego sam na wsi nie siedzisz?

Stanio o kilka kroków się cofnął.

— Ja?

Oczy szeroko otworzył z wyrazem najwyższego podziwienia.

— A... cóżbym ja na wsi robił?—zapytał po chwili.

Lecz Leon oka z niego nie spuszczał, uśmiechając się ironicznie.

— A... cóż ty w mieście robisz?

— Ja?

— Tak! ty!

Chwilę trwało milczenie.

— Parbleu!... Żyję!—odrzuć wreszcie Stanio.

Leon ramionami wzruszył.

— Jeśli się to nazywa życiem, to żyjesz. Jesz, pijesz, wstajesz późno, wyglądasz comme le roi de la gaume, zieleniejesz z dniem każdym, zaciągasz tu i owdzie długi, tłuczesz się od czasu do czasu po zagranicach, czytasz „Dubut Lafo. reste'a” i lysiejesz...

— Naśladuję ciebie.

— Och!... ja!

— Cóż ty?...

Leon pomyślał chwilę.

— Ja się nie liczę. Ja jestem petit crevé; zresztą ja nie mam żadnych obowiązków.

— Décidément, ile dzisiaj spałeś? Nie wiesz o obowiązkach! Cest à etouffer de rire.

— Etufuj jeśli chcesz. Gdybym jednak miał panią Maryę, Jerzusia i Siemiatycze, nie walczyłbym o Cytrynę z hrabią. Voilà!...

Odrzucił się do okna, które szeroko rozwarte ukazywało płaszczyznę placu i majaczące w oddali filary bramy ogrodu Saskiego.

— Voilà!... — powtórzył, wydobywając z kieszonki od kamizelki mały, w złoto oprawny, ołówek.

O ramę okna się oparł i pograżył się w milczeniu. Tymczasem Stanio znów rozmowę z Brunonem nawiązał.

Powoli wypytywał skąpca o termin skończenia dzierzawy Horeckiej, o datę odjazdu Anto-

niego, o nową siedzibę posesora. Zdawało się z tych słów, że dyplomatycznie, układnie—Stanio pragnąłby całą duszą, aby Antoni nadal pozostał w Horce. Ślub Trejny odwołłby się w ten sposób, a gdyby się odbył nawet, sąsiedztwo Siemiątycz z Horką umożliwiłoby Staniovi widywanie częstsze żydówki, która coraz bardziej zaczynała laskotać drzemiące już nerwy zużytego światowca.

Przed poznaniem Trejny miał silny zamiar usunięcia nędzy i wypuszczenia majątku w dzierzawę. Ziemia, stan wogóle majątku — obchodziły go mało, nic prawie. Teraz jednak zmienił nagle postanowienie. Umyślnie mówił o Cytrynie, chcąc wybadać zamiary Brunona i dowiedzieć się o istotnym stanie rzeczy. Możliwość bezkarnego romansu z Trejną, zrzucenie wszelkich następstw i odpowiedzialności na ramiona posesora, wydawały się teraz Staniovi celem, do którego powiniem był dążyć usilnie.

Nagle od okna oderwał się Leon i zaczął szukać kapelusza.

— Chodźmy!—wyrzekł, stojąc przed przyjacielem.

— Chodźmy!

— Mówiłeś, te panie... Któż jest z panią Maryą w łóżu?

— Trejna.

— Ach!

Leon usta przygryzł.

Niepodoba ci się ta mała?

— Ależ przeciwnie! Jestem nią zachwycony. Une simplicité hors ligne!...

Roześmiał się ironicznie.

— Żartujesz. Elle n'est pas si simple, que... Leon jedno oko zmrużył.

— Compris!...

Brunon pomiędzy rozmawiających wdreptał.

— O kim mówicie?

— O narzeczonej twego posesora, hrabio.

— Antoniego?

— Si, żydówce wychrzczonej. — Ma femme c'est toquée d'elle... Bawi u nas.

Leon oczami przyjaciela świdrował.

— Tiens! tiens!—mówisz, que c'est ta femme. Je pense le contraire!

— Cóż znowu!

— Ale tak! Et c'est bien malheureux, bo ja adoruję pannę Trejnę. Adoruję!... — dodał z przyciskiem.

Stanio brwi zmarszczył i chmurnie na Leona spojrział.

— Adoracya twoja powinna pozostać ukryta. Trejne jest narzeczoną.

— Je sais! — c'est l'affaire pana Antoniego, i moja. Tu n'as rien à faire la dedans, je suppose!

Mierzyli się oczami przez chwilę! Leon spokojny, chłodny, ironiczny; Stanio wzburzony, zdenerwowany, widocznie szukający słów odpo-

wiedzi. Nagle głos Brunona wpadł w tę ciszę lamentujący i nieszczęśliwy.

— Jezusie cudowny! ta cóż ja sierota pocznę! na kołnierzyku mi ten niegodzijas nabazgrał imię i nazwisko! kołnierzyk zepsuł! ta gdzież i jak po inny się dobić!

Leon dusił się ze śmiechu, szybko za klamkę złapał i na korytarz wypadł, ciągnąc za sobą Stania.

Tymczasem w pokoju pozostał zrozpaczony Brunon, łamiący ręce nad jedynym papierowym kołnierzykiem, na którym Leon olbrzymiemi literami napisał:

— Brunon graf Zabijanicki.

W głąb łoży cofnięta Marya, znużonem okiem śledziła bieg tragedyi, która jak barwna wstęga w purpurowych ramach proscenium, przed nią się roztaczała.

Już Uriel przeklęty cierpiał u Van der Straaty, kryjąc się w cieniu przed pomstą swych wynawców...

W jasnej przestrzeni zapełnionej jakby tysiącem pyłków białawych, wirujących pod sufitem sali, rysowały się na tle ciemnych płócien, przedstawiających izbę bogatego kupca, sylwetki Uriela, jego matki, wciśniętej w wysokie krzesło i kłęczącej u jej stóp Judyty. Kolory ich szat miały harmonię ostrą starych flamandzkich obrazków.

Seledynowa zieleń sukni Rakiewiczowej służyła za podkład brązowej szacie Marcellówny. W oddali czarny strój Kotarbińskiego ciemniał na tle jasno szarej kotary, maskującej wejście. Z kolorowych szyb okna padało niepewne światło, jakby krwawy refleks zachodzącego słońca. W głębi złotawe frendzle draperyi, okrywającej stół, migotały chwilami jak ostrza sztyletów. Od rampy biło światło gorące i oślepiające, przecięte brudną białą plamą budki suflera.

Orkiestra opróżniona, jak przepaść najeżona pulpitemi, na których walały się nuty, odcinała sobą scenę od krzesel, które teraz przedłużały się zwartą masą, jak kolumny wojska, wciśniętego w wysoki dziedziniec forteczny. A po nad niemi proste i ostre wznosiły się ściany łoż, inkrustowanych niby popiersiami ludzkimi. W wązkich przedziałkach aksamitu zniszczonego i zbielełego pod wpływem gazu, chyliły się ku scenie głowy kobiet jasne, jakby w białym pyłe skąpane. Zielonemi i żółtymi plamami znaczyły się twarze mężczyzn. Im wyżej ku górze, tem więcej wszystkie głowy i popiersia zlewały się w szereg plam, gdzieniegdzie przeciętych jasną barwą stanika, lub jaskrawą czerwienią maków, zdobiących przód kapelusza. W rogu paradyżu, przy samej scenie, jakiś chłopiec przewiesił swe ręce przez balustradę, które odcinały się dziwnie dokładnie, jak dwie krótkie smugi na tle blado-żółtej malatury balkonu. Czarne koło dziwne i tajemnicze, z któ-

rego zwieszały się olbrzymie sznury żyrandola, wcinało się głęboko w brudną płaszczyznę sufitu. Jakby żrenica olbrzyma, czarna i melancholijna, wgłębienie to zdawało się spoglądać uważnie na tłumy ludzi wciśniętych w poręczce foteli. I tylko przed łóżami snuło się gorące i migocące światło, ukazując z okrutną szczerością zniszczone fałdy aksamitu, opadłe tynki, wyszczerbione ornamenty i wątpliwą biel zanikających fresków.

Marya, o tył krzesła oparta, znużona, słuchała jęków ślepej matki Uriela. W nerwowym podrażnieniu, w jakim się znajdowała od pewnego czasu, wszystkie burze i łamania się uczuć w innych odczuwała z podwójną wrażliwością. Identyfikowała się mimowoli z łkającą i do ziemi przypadłą Judytą. Śledzenie tego cierpienia, wytworzenie fikcyjnego celu silnej rozpacz, sprawiało jej ulgę, odwracając myśl od bezustannego analizowania istotnego stanu własnej duszy.

Obok niej Trejne, w gorącej barwie koralowego muślinu, z ramionami zaledwie okrytymi lekką tkaniną, płonąca w świetle gazu krwawymi refleksy, gryzła ciągle usta, słuchając mało, zajęta jedynie tem, co się działo w sali.

Scena wyklęcia Uriela wywołała w niej niewyraźne uczucie przestrachu. Olbrzymia postać Leszczyńskiego, silnie zarysowana na tle jasnej dekoracji, okryta czarnym kirem wiekowego stroju, z białą płachtą zarzuconą na ramiona, wzbudziła w niej wspomnienie dziadka. Skur-

czyła się na krześle, wcisnęła głowę w ramiona, a oczy jej miały ten sam wyraz zwierzęcego przestrachu, jaki Marya dostrzegła w oczach neofitki po za siatką krat klasztornych. Przez całą scenę przekleństwa siedziała cicho, przyczajona jak kot czarny w kłębek zwinięty, obrzucony draperyą koralowego muślinu. Lecz drzwi łoży leciuchno skrzypnęły. Stanio wsunął się do ciasnej klatki, za nim Leon, ironicznie uśmiechnięty.

— Dziwna idea, smażyć się w tej sali dla wysłuchania Gutzkowa — zaczął, zajmując miejsce po za Maryą.

— Chciałam Joasi teatr pokazać — tłomaczyła się młoda kobieta.

— Jakież wrażenie wywiera? piorunujące?

— Na Joasię nic nie wywiera wrażenia piorunującego — nawet piorun sam!

Leon głową pokręcił.

— Proszę!... sądziłem, że jest wrażliwsza!

Zaczął przez chwilę przypatrywać się uważnie żydówce, która, czując po za plecami obecność Stania, dostała nagle wypieków na twarzy i zielonawych iskier w oczach.

— Spójrz pani na nią... zdaje się być silnie wzburzona.

Marya wychyliła się z łoża.

— Dwie lornetki zwrócone na nią z parteru wprowadzają ją w ten stan, w jakim ją pan widzisz.

— Pani ją zna dokładnie?

— Maszę. Jestem z nią bezustannie. Mimo-
woli śledzę objawy tej dziwacznej natury.

— Według mnie, nie ona jest tu dziwaczną
naturą.

— O!... nie ona? któż więc?

Odwróciła się teraz prawie twarzą ku Leo-
nowi i cień silny padał na jej głowę i piersi. Na-
tomiast ramiona, szyja, włosy, zdawały się obwie-
dzone złotym, wązkim paskiem światła w białą-
wym odcieniu.

— Kto więc? — powtórzyła.

— Przedewszystkiem vous, madame! Vous
êtes toquée na punkcie tej panienki.

Marya ramionami wzruszyła.

— Toquée? ja?... cóż znowu!

Nagle, jakby powściągnąwszy żywsze porusze-
nie, dodała:

— Lubię ją bardzo!

Leon oko przymrużył.

— Allons donc! Pani ją lubisz? Vous la
détectez, madame!

Marya próbowała zaprzeczyć.

— Quelle idée! Nienawidzić jej—za co?

— Powiedziałem to już raz dość wyraźnie.
Dziś powtarzam: jesteś pani zazdrosną. Pan
Antoni...

Młoda kobieta drgnęła nerwowo.

— Co... Pan Antoni...

— Pan Antoni—ciągnął dalej Leon—uwolni
panią zapewne wkrótce od tej niemilej towa-
rzyszki.

Marya odetchnęła swobodniej. Cień smutku
powlókł jednak jej twarz pobladłą.

— Zapewne... ślub nastąpi niezadługo. Dziś
tylko się Trejne opiera.

— Nie wiem... tajemnica jest. Pilnie strzeże
swych myśli. Mówi: nie chcę! to wystarcza.

— I Antoniemu to wystarcza?

— Cóż pan chcesz!... to także dziwna natura.

Odwróciła się ku scenie, na której teraz
pozostała sama Judyta; koło okna oparta z wy-
tężeniem śledziła Uriela. Leon pochylił się co-
kolwiek na poręcz krzesła.

— Pour sur, że dziwna! Tak ją kocha!

Marya nie odpowiedziała nic.

Patrzyła ciągle na scenę, tonącą w bladawo-
blond pyle i zdawała się nie słyszeć ostatnich
słów Leona.

Jedynie tylko lekkie drzenie ujawniało jej
silne wzruszenie.

Na scenie Judyta podniesionym głosem de-
klamowała:

Czy kobieta wciąż mężczyźnie
Wieczną będzie życia kłutwą,
Dając rozkosz mu w truciznie?

Leon bacznie w profil Maryi się wpatrzył.
Zauważył jej bladość i drzenie podbródka, silnie

wolą hamowane. Wzrok jego ześlizgnął się wzdłuż rąk, okrytych ciemno-szafirowemi aksamitnemi rękawami i dojrzał, że palce młodej kobiety kurczowo cisnęły aluminiową lornetkę.

— Cierpi—pomyślał, brwi marszcząc—cierpi dziś więcej, niż kiedykolwiek! Cierpi!... moja złota!...

Czuł w sercu jakieś dziwne ściśnienie, coś go dławiło w gardle. Próbował się uśmiechnąć, spojrzeć ku łóżom, z których wychylały się znane mu głowy kobiet, lecz poblady profil Maryi zaciemniał mu wszystko. Ta hamowana i tłumiona całą siłą boleść uczciwej i nieskalanej kobiety sprawiała na nim silne wrażenie, z którego otrząsnąć się nie mógł...

Mimowoli wzrok jego poszukał Stania.

Siedział po za krzesłem Trejny, w niedbalej, wygodnej pozie. Błady, zniszczony, odcinał się ostrą sylwetką na tle czerwonych draperyi. Oczy zaczerwienione od bezsenności utkwil z pożądliwością w cienki pasek ciała Trejny, który się odsłaniał pomiędzy rąbkami muslinu i czarną linią włosów, wysoko na czaszce upiętych. Ciało to miało ton bledszy od koralowej barwy sukni i zaznaczało się nagle jak szmat różowej, o złotych błyskach, porannej światłości.

Leon cofnął się w głąb łoży i, zmrużywszy oczy, śledził teraz uparcie zachowanie się Trejny.

Siedziała wyprostowana, z rękami na kolanach opuszczonych, oddychając szybko. Zaledwie

dostrzegalne dreszcze wstrząsały nią całą. Widocznie czuła wzrok Stania, w nią badawczo wlepiony. I, powoli, jakby ulegając magnetycznemu wpływowi, odwróciła się ku mężowi Maryi, rzuciwszy przedtem okiem na smutnie zapatrzoną w przestrzeń swą matkę chrzestną.

Sekundę jedną spotkały się źrenice Trejny z szafirowemi oczami Stania. Przelotny uśmiech dwojga współników, rozumiejących się dokładnie, rozjaśnił ich twarze. Poczem Trejne, głowę do sceny zwróciwszy, zdawała się już słuchać uważnie, trochę uspokojona.

Natomiast Stanio zagryzł usta niecierpliwie. Przechylił się w tył i znów z pod obrzmiałych powiek na dziewczynę patrzył.

Kurtyna spadała teraz wolno, z szumem i zgrzytem kólek. I nagle jasny strumień światła oblał widownię, ujawniając zniszczenie sali, malowidło na twarzy kobiet, ostre tony kwiatów na koronkach kapeluszy, białość mankietów męskich, stłuszczenie i obszarpanie firanek po nad łożami.

Leon powstał z miejsca, skrzywiony, z twarzą zmarszczoną w dziwaczny sposób.

— Wychodzisz?—zapytał go Stanio.

— Widzę hrabiankę z matką; może pójdziesz ze mną?

— Pójdę wypić szklanek wody na dole. *Je meurs de soif...*

Wyszli obaj, skłoniwszy się paniom. Marya zdawała się nie dostrzegać ich wyjścia, pograżona ciągle w smutnej zadumie.

Trejne odważnie na przód łoży się wysunęła, kąpiąc się w ogniu lornetek, które ku niej się zwracały.

Znalazłszy się na kurytarzu, Leon ujął ramię przyjaciela.

— Mam z tobą na pieńku!

— Za co?

— Za pannę Trejną!

Stanio oczy szeroko otworzył.

— Tiens! Cóż ty masz do niej?

— Akaparujesz ją zanadto. Zawsze jesteś przy niej. C'est indecent! Dla innych przystępu niema.

— Po cóż ty masz do niej przystęp mieć? Pour ricaner?

— Non... pour lui faire la cour!

Stanio zatrzymał się na środku przed-sionka.

— La cour? a to w jakim celu? w jakich zamiarach?

Leon śmiechem parsknął.

— Parbleu! w zamiarach matrymonialnych. Ne suis-je pas libre?

— Ty—tak! ale ona—nie!

— Patrząc na ciebie obok niej trudno sobie przypomnieć le spectre de son fiancé.

Stanio nerwowo głową na wszystkie strony wykręcał.

— Ja umiem utrzymać się w granicach!...

— Oh! par exemple!...

Spojrzeli sobie w oczy.

Leon miał spokojne, ironiczne źrenice. W oczach Stania paliły się nerwowe płomyki. Teraz chwilę mierzyli się wzrokiem ci dwaj towarzysze rozpusty, którzy sieli przez długi czas, ręka w rękę, skarby zdrowia, młodości, inteligencji i majątku po ryszotkach nocnych hulanek.

— Zresztą — podjął Leon — toczy my walkę o kwaśne winogrona. Pan Antoni byłby ci serdecznie wdzięczny za takie rycerskie bronienie praw jego narzeczeństwa. C'est inoui, mój Stasiu, comme tu deviens ramolli! Mówisz o... szacunku. Tiens, tiens!...

Śmiał się uszczypliwie, włożywszy ręce w kieszenie od spodni.

— Et tiens toi pour averti! od dziś ja zaczynam kurtyzować pannę Trejną. Ja także ją potrafię uszanować! Oh!... ma mère!

Szybko ku wschodom się zwrócił.

— Idź, napij się wody i wierz mi que toujours je te gobe ma vieille!

Gdy Stanio powrócił do łoży, zastał Leona wygodnie zainstalowanego za krzesłem Trejny. Żydówka uśmiechnięta, rozpromieniona, słuchała wykwinnych komplementów, jakiemi zarzucał ją Leon. Tak byli sobą zajęci, że zdawali się nie

dostrzegać wejścia Stania, który, chmurny i zniecierpliwiony, zajął miejsce po za żoną.

Ben Akiba na scenie wywodził monotonnym głosem swoje poglądy, a Akosta odpowiadał mu zuchwale. Leon nie zwracał najmniejszej uwagi na scenę i ciągle chychotał z Trejną, która zdawała się być w siódmym niebie.

Stanio kilkakrotnie spoglądał na rozmawiających, gryząc usta i mnąc nerwowo bibułę afi-sza; wreszcie—wybuchnął.

— Proszę was—przestańcie!... przeszkadzacie mi słuchać Rapackiego.

Leon oko zmrużył.

— Tiens! odkąd cię zajmują tak żywo częstochowskie wiersze?

Stanio nie odpowiedział wprost, lecz zwrócił się ku Trejnie.

— Panna Trejne powinna także posłuchać trochę sztuki. Przecież to żydzi na scenie!

Trejne usta wydeła.

— A cóż mnie żydzi? cóż oni dla mnie?

Leon parsknął śmiechem, Trejne mu zawtórowała.

— A bo tak!—zawołała—cóż dla mnie takie żydy! Ja się nie chcę na nich patrzeć.

— Ma pani rację, niech się pani nie patrzy — chychotał Leon — lepiej patrz się pani na mnie.

— A bo pewnie — wolę — pan choć uciwszy.

Stanio, silnie zdenerwowany, zmarszczył brwi z wściekłością.

— Panno Trejno!... proszę!... bo...

Oczy dziewczyny błysnęły buntowniczo.

— Bo co?—zapytała harkotliwie, uśmiechając się zuchwale—bo co?

Wzrokiem ześlizgnęła się z twarzy Stania i szukała już oczów Leona, które rozweselały ją niepomiernie.

Lecz Leon w tej chwili śledził Maryę, na której ustach pojawił się leciuchny uśmiech.

— Pani Marya się śmieje — zawołał — jeśli ona nie gniewa się na nas, toi Monsieur le quidam możesz ronszoniować w swoim kącie... ça nous importe très peu.

I znów zaczął flirtować z Trejną, wisząc jednak wzrokiem przy twarzy Maryi, która zdawała mu się teraz cokolwiek weselsza w przyćmionem świetle gazu, oblewającym ją od dołu blaskiem białawym.

XXII.

Od tego dnia Leon rozpoczął usilne i niezmiernie widoczne staranie się o względy Trejny. Dziewczyna, olśniona jego dobrym humorem, łatwością rozmowy, zresztą snopami kwiatów, które się codziennie w jej pokoju zjawiały, z nadzwyczajną kokieteryą zachowywała się względem swego nowego wielbiciela. On prowadził całą tę sprawę ostentacyjnie, ciskając w oczy wszystkim swe uwielbienie dla córki chrzestnej, zagarniając ją bezustannie wyłącznie dla siebie, ciągle koło niej, uważny na jej skinienie, ironicznie w nią wpatrzony, szepczący jej z drwiącym uśmiechem czule słówka do ucha.

Marya postanowiła zaoponować przeciw tej naglej „tokadzie” swego przyjaciela.

— Trejne jest mnie powierzona wyłącznie. Co powie Antoni, gdy powróciwszy, zastanie ją panem zajęta. Co pan zrobisz wtedy?

— Oddam ją sam narzeczonemu.

— Więc pan jej nie kochasz?

Leon milczał, tylko wiewiórcza twarz jego wykrzywiała się w dziwaczny sposób.

— Jeśli pan jej nie kochasz, dlaczego to robisz? dlaczego?

— Pour m’amuser! C’est simple, comme le bon jour!

— A jeśli ona...

— Cóż ona?

— Jeśli ona się do pana przywiąże?

— Ona? Laissez donc!... Niema obawy. A gdyby tak było, ha!... niech wybiera!

Nadstawiał się komicznie, rozrzucając klapy swego smockingu.

— Równe szanse.

Tymczasem Stanio, którego małżeństwo, wreszcie stanowisko gospodarza domu, krępowało bezustannie, za ledwie ukradkiem mógł dopaść do Trejny, którą przerażał po części brutalną złością, z jaką do niej teraz przemawiał. Nie mogąc otwarcie starać się o doprowadzenie do skutku powziętych zamiarów i rzucenia sobie dziewczyny w objęcia, śledził z wyteżeniem rzadkie sposobności, podczas których mógł użyć sposobów uwodzenia i działania podstępna pieśczętą na zmysły dziewczyny. Był już na dobrej drodze; Trejne, podbita jego pięknnością, ujarzmiona gorącym dotknięciem dłoni, zdawała się być blizką upadku, lecz—nagle, jak rudy Kobold, w sprawę tę wmieszał się Leon, i Trejne, ujęta przez niego,

dumna z posiadania otwartego wielbiciela, zasypującego ją kwiatami i bombonierkami, zaczęła zapominać o Staniu. Jak każda brunetka, Trejne miała w sobie olbrzymi dar powściągnięcia się, a zadowolenie z miłości własnej stawiała wyżej po nad wszystko. Początkowo, gdy Leon nie zwracał na nią uwagi, Ignęła do Stania z nałogu Ignięcia do wszystkiego tego, co stało wyżej od niej i imponowało jej czemkolwiek. Później ubieganie się o jej względy Leona przyćmiło ukradkowe pieszczoty Stania. Upajając się wonią kwiatów, sunąc palcami po pluszach bombonierek, z ustami wypchanymi cukierkami, czuła się teraz Trejne u szczytu swych marzeń.

Napróżno Stanio przeszywał ją spojrzeniem swych marzących oczu, napróżno czatował na nią po za portyerami lub w kurytarzach. Trejne, wiecznie przy boku mając swego adjutanta, siedziała teraz ciągle prawie w salonie, wachlując się, jedząc czekoladki, śmiejąc się bezmyślnie z tanich dowcipów, które Leon całemi masami pod nogi jej rzucał. Marya, uspokojona zajmowała się dzieckiem, szyła sukienki, ciągle błada i zamyślona. Czasem na odgłos śmiechu tamtych dwojga mimowoli uśmiechała się, podlegając zaraźliwemu kurczowi nerwów. Jerzuś, uszczęśliwiony z weselości panującej w salonie, dreptał pode drzwiami, prosząc o wpuszczenie go. Lecz Marya zatrzymywała dziecko w swej sypialni. Cały dzień jak zwierz w klatce, kręcił się po

mieszkanii Stanio, i pod pozorem pakowania swych kufrów do Aix-les-Bains, nie wychodził prawie z domu.

Smutnem okiem śledziła go Marya.

Nie robiła sobie w tej chwili iluzji. Odczuwała doskonale stan duszy tego wyżytego człowieka. Trejne, jako ponętna dziewczyna, była dlań łakomym kąskiem. Zrzucił na nią siatki. Leon go ubiegł. Trejne zwróciła się ku temu, który pochlebiał jej swem jawnem uwielbieniem. Stanio wpadł w stan chorobliwego rozdrażnienia. Wyzywająca piękność żydówki gorącym tchnieniem napełniała dom cały. W atmosferze tej obrażał się nieumiejący nakazać milczenie swej namiętności Stanio, pławiąc się w tem gorącu i w swej własnej wściekłości.

Bezczynne, bezcelowe życie, jakie pędził, dozwalało mu analizować stan swych nerwów i podniecać się dobrowolnie w tej piekielnej sarabandzie. Jak zwierz, któremu zbyt wysoko w klatce zawieszono szmat mięsa, tak się ciskał teraz dławiony własną złością. Chwilami miał ochotę wypędzić z domu Leona, zamknąć mu drzwi po zrobieniu gwałtownej sceny. To znów ręce mimowoli szukały szyi Trejny, aby kurczowo się koło niej zacisnąć i martwem ciałem dziewczyny o podłogę cisnąć.

Z daleka Marya śledziła tę walkę wewnętrzną. Nie miała odwagi przystąpić do męża z łagodniejszym słowem, choć w głębi czuła dlań

silne politowanie. Widziała, że walczył i choć z trudem, ale pokonywał zwierzę, które się weń gwałtownie burzyło. Miała dlań za to litość i szacunek. Jak każda kobieta, potrzebująca pobłażania, stawiała się wyrozumiałą na cudze zbrocenia. W głębi duszy i ona myśl swą ciągle teraz ku innej zwracała stronie. Myśl ta uparcie koło Horki krążyła. Dlaczego? Tego nie umiała sobie wytłumaczyć. Czy przyszło to na nią nagle, wtedy, gdy we dwoje z Antonim pochyleni nad łóżeczkiem dziecka w ciszy sypialni, zamienili, długie, przeciągłe spojrzenie? Czy było to rzeczą zupełnie nową, czy tylko zbudzeniem się dawnego nad brzegiem Styru wykołysanego uczucia, które ukryte głęboko tkwiło zawsze w jej sercu, a tylko gorącą miłością dla Stania przygłuszone zostało? Dość, że myśl o Antonim, wspomnienie jego pocziwej, ogorzałej twarzy, jego głosu harmonijnego, pełnego niskich dźwięków, jego zacnej, szczerzej, jak kryształ przezroczystej duszy, ośwładnęła nią całą, pomimo walk, jakie staczała. Sponiewierana i odepchnięta przez męża, wszelkimi siłami czepiała się tego naturalnego punktu oparcia każdej stojącej już na pochyłości kobiety. Lecz on, goniący ciągle za Trejną, sam zdawał się popychać ją na rozstaje drażniąc bezustannie jej godność osobistą. I gdy w śmiertelnem znużeniu, w ciągłej rozterce z myślą własną, która skrępowana trzepotała się boleśnie w obcą stronę, szukała męża, aby przy

jego boku odpocząć cokolwiek, znajdowała go chmurnego, wpatrzonego w chychoczącą z Leonem Trejnę, z twarzą, pobladłą ze złości i niezadowolenia.

Odwracała się smutnie i, zniechęcona, wracała do dziecka, które z rozkazu ojca zamknięte w pokoju Maryi, bawiło się w kąciku. Z przestraczem chwytala w objęcia to maluchne cialko! Boże!... czy i on, ten jej syn ukochany podlegać będzie wrażeniom zmysłów i rzucać im na pastwę młodość, siły, czas, inteligencyę?

Lecz dziecko zdawało się dziedziczyć jej naturę, smutną i melancholijną.

— Nie płacz, mamusiu! — mówiło, ocierając łzy, płynące gradem po twarzy młodej kobiety.

Po usilnem wypróbowaniu swych sił, doszła Marya do przekonania, że nagle zbudzone jej uczucie dla Antoniego było dawno zakorzenione w jej sercu. Im dalej sięgała myślą, tem więcej przypominała sobie szczegółów, utwierdzających ją w tem mniemaniu. Przypominała sobie żywo scenę, gdy odeszła chmurna i wyniosła, pozostawiając Antoniego, klęczącego u brzegu Styru, w uroczysku Wołochowskiem. Jakby pod pokładem spieczonej ziemi, tak wtedy szamotało się w niej serce niewyraźnym bólem. Dziś nauczyła się w ból wsluchiwać i wiedziała dobrze, co takie uczucie znaczy. Lecz dziś było zapóźno i jak w mogile, tak serce powinno w jej piersi

leżeć cicho i nieruchomie. Na to miała do-
syć siły.

Wyznawszy w ciszy nocnej przed samą so-
bą obecny stan swej duszy, ze łzami gorącemi
w oczach towarzyszyła pogrzebowi swego szczę-
ścia. Dziś w dziecku zjednoczyła wszystkie swe
gorące pragnienia i uczucia. Po za tem nic dla
niej nie zdawało się istnieć.

Przygasłem tylko okiem śledziła męża, bę-
dąc najsilniej i najmocniej przekonaną, że reszta
uczciwości nakaże mu pokonać swą namiętność
dla Trejny i uszanować dach, pod którym żyje
jego żona i dziecko. O tem ani na chwilę nie
wątpiła, wiedząc, że wszelkie jego miłosne awan-
turki działały się po za domem i jedynie tylko ich
echo uderzało bolesnym razem w jej serce i du-
mę jej, do tej chwili nieposzlakowanej, duszy.

Tak stały rzeczy do pierwszych dni września.

Ani Leon, ani Stanio nie wyjeżdżali zagra-
nicę, wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy. Co
do Maryi, ta wybierała się wraz z Jerezem do
kąpieli morskich, skoro tylko dzień ślubu Anto-
niego i Trejny naznaczonym stanowczo zostanie.
Trejne rozbawiona i oszołomiona nadskakiwaniem
Leona, teraz jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, miała
chęć zostania panią posesorową. Zamyślała się
teraz często i objawiła nagłą chęć kształcenia się,
zaczynając od abecadła. Czesła włosy gładko
jak Marya, i zapinała staniki szczelnie pod szy-

ję. Starala się mówić lepiej po polsku i przy
stole jadła ryby zupełnie przyzwoicie [widelcem.

Pieściła coraz częściej Jerezusa i uważnie
oglądała przybory toaletowe Maryi. Pytała o szcze-
góły podróży poślubnych i wystawnego pożycia
młodej pary w mieście.

Pewnego poranku, rozczesując włosy Maryi,
zapytała nagle:

— Proszę mi powiedzieć... czy ojciec chrze-
stny może się ożenić z córką chrzestną?

Marya, zdziwiona, wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że nie...

Ręka Trejny opadła. Sztyldkretowy grzebień
potoczył się po dywanie.

— Aj, aj!... nie może być!...

I, nagle zasmucona, odeszła od toalety, po-
zostawiając Maryę zdziwioną tem niezwykle py-
taniem.

— Czyżby Trejne przypuszczała, iż Leon
się z nią ożeni?... cóż za szaleństwo! — myślała
młoda kobieta.

— A gdyby!...

Antoni pozostałby wolny! wolny!

Myśl ta jak błyskawica przebiegła po jej
umyśle, lecz natychmiast siłą woli Marya odpe-
dziła ją precz od siebie. W gorączkowej chęci
dopełnienia swych obowiązków, postanowiła roz-
mówić się szczegółowo z Leonem i prosić go,
aby zaniechał tej komedii, której celu zrozumieć
nie mogła.

Ściemniało się powoli i salonik znów utonął w tajemniczym półcieniu.

Gdy Marya weszła do salonu, koło dużego stołu, pokrytego aksamitem, siedział Leon, rozkładający przed Trejną całe stosy kolorowanego abecadła.

— Ba, be, bi, bo, powiadam pannie Trejnie, tout ce qu'il y avait de plus chic.

Monokl w oko wsadził i, spoglądając w drzwi gabinetu Stania, dodał:

— Zaczynamy lekcję!

Lecz firanki gabinetu pozostały nieruchome. Stanio, zmuszony dnia tego do wyjścia na miasto, dla załatwienia pożyczki, miał powrócić dopiero za godzinę.

Z tej chwili skorzystała Marya.

— Moja Joasiu, proszę cię, zostaw nas na chwilę samych.

Trejne nieufnie spojrzała na Maryę i, powoli powstawszy, ku drzwiom się skierowała.

Gdy wyszła, Marya upewniła się, czy nie zatrzymała się pod drzwiami dla podsłuchiwania, co było zresztą jej zwyczajem i, do stołu się zbliżywszy, miejsce Trejny zajęła.

— C'est solonnel? — zapytał Leon, oczy mrużąc.

— Poniekąd—odparła młoda kobieta—chodzi mi o Trejnę.

— Tiens! nigdybym tego nie zgadł.

— Przestań pan żartować. Muszę nawet pa-

na ostrzedz, że żarty swoje posunąłeś zadaleko. Tak, jak to przewidywałam, dziewczyna galanterię pana wzięła na seryo...

— Allons donc!...

— Nawet tak seryo, że myśli o małżeństwie!

— Ze mną?

— Z panem!

— Epatant!

— Cóż pan na to?

— Mówię: épatant.

— To nie wystarczy.

— Cóż pani chcesz? Może mam się z nią zenić?

Marya ramionami wzruszyła.

— O tem niema mowy.

— Więc o czym?

— Trzeba, ażebyś pan zaprzestał zbyt częstych wizyt. Kwiaty i cukierki z programu wykreślam. Powinnam to była odrazu uczynić.

— Więc?...

— Rzecz ułożona. Vous cessez de faire la cour à Trejne. To konieczne!

— To niepodobne!

— Dlaczego? kochasz ją pan?

Leon z krzesła się porwał i szybko salon przebiegać zaczął. Marya śledziła go uważnie.

— Kochasz ją pan?—nalegała.

— Mais... au nom de Dieu... nie pytaj pani o to...

Koło żardinierki się zatrzymał i liście palmy kruszył w palcach.

— Nie pytaj pani o to!...

— Dobrze, nie będę pana spowiadała. Ale zaprzestania tak częstych wizyt domagać się muszę, powinienam!

— Nie, nie powinnaś pani! Przeciwnie!...

— Dla dobra Antoniego!

— Właśnie dla jego dobra.

Spojrzeli na siebie, pomimo cieniu zgadując doskonale wyraz swych oczu.

— A!—wyrzekła wreszcie Marya—pan bronisz tę dziewczynę przed...

Zamilkła na chwilę, wreszcie dodała zdławionym głosem, ukazując na gabinet męża:

— Przed... nim?

Leon milczał, łamiąc ciągle liście palmy. Szarawy mrok wieczorny padał mu na twarz, która lekko pobladła. Marya wpatrzyła się w tę drobną i skurczoną postać mężczyzny, po za którą gęste liście palmy koronkowy wachlarz tworzyły.

— Antoni byłby panu serdecznie wdzięczny—wyrzekła po chwili, jakby w zamyśleniu.

Lecz Leon porwał się nagle.

— Antoni?! — zawołał — a cóż mnie Antoni obchodzi? czem dla mnie jest Antoni w tej całej sprawie? Chciałem rzecz całą w tajemnicy doprowadzić do końca, chciałem w chwili ślubu Trejny zakończyć moją nużącą rolę i uciec

w świat, comme un pion inutil. Pani formalnie zmusiła mnie do wyznania prawdy, narzucając mi wdzięczność człowieka, qui m'est parfaitement indifférent. Więc wiedz, że nie dla Antoniego zmusiłem się do odegrywania tu roli d'un paratonnerre; chciałem tobie, tak, tobie oszczędzić chwil zazdrości, która cię minowała. Voilà!... Teraz burza zażegnana. Stanio nie myśli o Trejnie, ona o nim! O to mi chodziło.

— Mylisz się pan. Mąż mój jest stokroć więcej zajęty Trejną, niż kiedykolwiek.

Leon uważnie w twarz Maryi patrzył.

— Mówisz to pani prawie obojętnie.

Młoda kobieta zrobiła rękami ruch, oznaczający rezygnację.

— Cóż robić? przeciw wodzie płynąć niepodobna.

— Myślałby kto, patrząc na panią, że ci tak łatwo rezygnować przyszło. Mais moi j'en sais quelque chose! Nienapróżno jestem przyjacielem domu. J'observe bien, i to od lat kilku... Wiem, jakie walki nieraz staczałaś pani z sobą, aby pokryć uśmiechem swe opuszczenie. Teraz jesteś znużona, walczysz jeszcze—par habitude, ale lada chwila maska opadnie ci z twarzy i sił zabraknie. Może już zabrakło! kto wie!...

Patrzył na nią usilnie, jakby chcąc wchłonąć w siebie tę postać kobiecą, doskonale piękną, owiniętą szczerlnie jasną, o żółtawych tonach, płócienną suknią.

— Przedemną nie potrzebujesz pani grać dalej swej roli — podjął znowu miękkiem głosem — je suis un blagueur, un sceptique, un crétin, un idiot de Royal-Meilhac, enfin, je suis pourri chique, que diable!... to mój los; mais — j'ai un culte dla wszystkiego, co szanować się każe... szanować i... kochać!... kochać bez granic!

Ostatnie słowa wymówił prawie szeptem, wyciągając w stronę Maryi rękę poźólkłą i żyłami przeciętą.

Młoda kobieta porwała się z miejsca, drżała jak w febrze. Poraz to pierwszy od chwili ślubu obcy mężczyzna rzucał jej pod stopy to słowo. I czuła dla samej siebie pogardę bez granic. Widocznie myśl grzeszna, która ją nurtowała, nadała jej twarzy wyraz odmienny; widocznie umysł jej, zaprzątnięty wspomnieniem Antoniego, odbijał się w jej oczach kuszącymi blaski, skoro Leon mógł się odważyć rzucić w przestrzeń to słowo, siekące ją, jak uderzenie szpicruty, ją — żonę! ją — matkę dziecka szczebiocącego o kilka kroków od niej, po za aksamitną zasłoną.

Chciała odpowiedzieć, lecz Leon ją uprzędził. Widząc jej pomieszanie, uznał za stosowne złagodzić brutalność swego wyznania.

— Nie wypędzaj mnie, proszę, z twego domu! — zaczął znowu. — Nie wypędzaj za te słowa, które mi się same na usta wyrwały. Nie wiem, skąd poszły. Może stąd, co wy, kobiety, nazywacie... sercem! Pout être!... qu'en sais-je, moi!

Wiem tylko to, że mi się coś z piersi ku pani wrywa, et que je ne suis calme qu'auprès de vous. Niech to będzie uczucie brata dla siostry. Nazwijmy to takim mianem i powróćmy do równowagi. Voulez vous être soeur?

Widocznem było, iż czynił wysiłki, aby słowa swe obwinąć jedwabiem dozwolonego uczucia.

Lecz Marya powoli odzyskała władzę i panowanie nad sobą.

— Pańską siostrą? — zapytała z gorzkim uśmiechem. — Siostrą może być tylko siostra; bratem tylko... brat! Wszystko inne jest fałszem wierutnym, fałszem i bajką, którą dwoje ludzi wzajemnie się okłamują, chcąc ukryć przed sobą przepaść, otwierającą się pod ich nogami!... Okrutną i niesprawiedliwą byłabym, czyniąc ci zarzut z twego uczucia dla mnie! Boże mój!... Rzecz taka przychodzi mimo naszej woli, ogarnia nas i wgryza się w serce, jak zwierze straszne i niewidzialne...

Przyłożyła rękę do czoła i stała tak chwilę, jakby pod wpływem wewnętrznej walki.

Pod otwartymi oknami z turkotem przeleciała dorożka. W oddali ktoś zaczął grać na rozstrojonym fortepianie nokturn Aschera w przyśpieszonym tempie polki. Zgluszone tony zdawały się mijać okno i lecieć daleko, w ciemną szyję uliczną.

Marya odsoniła wreszcie twarz wydłużoną i jakby szarym cieniem pokrytą.

— Nie czynię więc panu zarzutu z tego dobrego dla mnie uczucia, lecz z braku panowania nad sobą, z tego wybuchu, który pomiędzy panem i mną wykopał przepaść i rozłączył nas na zawsze.

Leon głowę opuszczoną podniósł.

— Jaktó! wypędzasz mnie pani stąd? tout carrément?

— Muszę...

— Mais... je vous jure...

— Och, nie przysięgaj pan; to napróżno. Patrząc na pana, miałabym ciągle przed oczyma zniewagę, jaką mi wyrządziłeś, małą... żadną, dla ciebie! Dla mnie... olbrzymią! Stałabym się niejako współniczką pana, kryjąc w głębi swej duszy tajemnicę twoją i tolerując obecność twą przy mnie. Wydaję ci się w tej chwili dziwaczką, istotą przesadzającą prawdziwy stan rzeczy, lecz, co pan chcesz! Ja sama odpowiadam za siebie!... Sama!... Dlatego podwójnie strzedz się muszę!... Teraz... nie drgnij, ale rzucę ci jedno banalne słowo... świat!...

— Ach!

— Świat otoczy kiedyś moje dziecko i zapyta: co robił w domu jego matki człowiek, który nie potrafił milczeć, nie umiał ukryć głęboko swego niedozwolonego uczucia, a zwłaszcza, co robiła wtedy ta matka, znająca dokładnie istotny stan rzeczy? Czy pan nie rozumiesz, że jestem kobietą opuszczoną, żoną wzgardzoną przez mę-

żem, i jako taka jestem lupem plotek i obmowy?... Gdybym była kochana, otoczona opieką, nawet może ukryte uczucie pana przeszłoby niedostrzeżone, tak, jak jest... jest przeciwnie. Za rok jeszcze, za dwa, bezustanna obecność pana tutaj zostałaby komentowaną w hańbiący sposób. A może już teraz... o! Boże!...

Zachwiała się nagle i upadła na fotel, kryjąc głowę w dłoniach.

Leon stał ciągle koło okna, nieruchomy, jakby do miejsca przykuty.

Dopiero w tej chwili odsłoniła się przed nim iskra uczucia, jaka w sercu jego tłała. Zblazowany, zniszczony życiem, piekącym ogniem łatwych miłostek, od pierwszej młodości życia uczepony u szyi kobiet, zdawał się być już zupełnie wystygłym kretynem. Pod czaszką czuł zawsze pustkę, w miejscu serca coś skamieniałego, jakiś fizyczny brak czucia, a zmysły nawet już nie drgały mu nigdy żywszem tempem. Marya działała nań w taki sposób, jak dalekie ognisko na zdrętwiałego z chłodu podróżnego. Z początku sceptycznie usposobiony, śledził chwilę, kiedy znużona zdradami i opuszczeniem męża, stanie się dostatecznie dojrzałą do zerwania, jako owoc... zakazany. Powoli jednak żelazna woła, duma, poczucie godności tej kobiety zaczęły mu silnie imponować. I lata przeszły, a on, opuściwszy łożę wołyżerki, szedł odetchnąć przy boku Maryi spokojem, lub prosto z gabinetu restauracyjnego, zgorączkowany

po zbyt przedłużonem śniadaniu, biegł do purpurowego saloniku, w którym był pewny zastać pełno kwiatów, miły półcień i kobietę samotną, siedzącą nad książką lub bawiącą się z dzieckiem.

Dziś, podrażniony bólem głowy, zmęczony komedią z Trejną, rzucił niebacznie słowo, którego nie sformułował przed sobą nigdy, drwiąc z tej „inwencji”, jak mówił czasem nad ranem po nieprzespanej nocy. I z chwilą wymówienia tego słowa odczuł je całą potęgą nagłą i niespodzianą. Zatargało się w nim uśpione i skamieniałe serce. Coś w nim żyło i poruszało się, drgało, wyrwało się ku tej kobiecie, bielejącej na tle ciemnych obić. Czuł, iż powinien odpowiedzieć, przerwać milczenie, lecz nie chciał wyrwać się z tej kontemplacji własnej istoty. Tak dawno, a może nigdy w życiu, nie odczuł tak silnego moralnego podniecenia; przymykał oczy i... wsłuchiwał się w przyspieszone bicie serca. Był w tej chwili egoistą, lecz całą duszą rwał się ku tej kobiecie, która zdołała obudzić go z letargu. Wydała mu się w tej chwili droższą, niż kiedykolwiek i jeśli kiedy, to teraz dopiero mógł rzucić jej słowo „kocham” bez cienia sceptycyzmu i wiczej, jakby do jego twarzy przykutej, ironii.

Wreszcie Marya powstała powoli, opierając się o stół, jakby w osłabieniu najwyższem.

— Żegnam pana!... — wyrzekła zdławionym głosem.

Leon wciąż stał nieruchomy.

— Żegnam!... — powtórzyła cokolwiek głosiściej.

Mężczyzna drgnął, jakby ze snu zbudzony.

— Jutro wieczorem wyjadę — rzekł powoli, dziwiąc się sam zmienionemu dźwiękowi głosu; — on a beau être crétin, on connait son dévoir. Nie zobaczysz mnie pani więcej... Nie powiem ci: bądź szczęśliwa, bo wiem, że dla ciebie to jest niemożliwe... Ja pójdę ogłupić się do reszty, vous savez!... j'irai à Paris... café Riche, Bignon, Lelac, Royal, Meilhac, baron de Vaax, coś tego... i wszystko się we mgle rozplynie. Nie powiedz mi pani czasem na pożegnanie kazania o moich obowiązkach obywatela, członka społeczeństwa!... et tutti quanti! ja to sam sobie zaaplikuję, wsiadając do wagonu! Pani jedynie podaj mi rękę i powiedz — va-t-en crétin, va-t-en espèce d'idiot!

Zbliżył się ku Maryi i ujął jej rękę rozpaloną i od łez mokrą.

— Jaka to rozkosz całować rękę uczciwej kobiety! i to rękę, łzami oblaną!... To z życiem godzi!... Ucałuj pani Jerezusa odemnie!... je lui enverrai un arlequin, une fois, que je serais là bas!...

Wyciągnął rękę w ciemną przestrzeń, jakby przesyłał ostatnie pożegnanie murom, zupełnie w cień zapadającym.

— Et d'une! — zawołał już prawie wesółym głosem na progu pokoju.

Podniósł portyerę i do przedpokoju się wsunął.

Migocące światło oblało go nagle. Bizantyjska lampa, kolorowemi szklami sadzona, płonęła po środku, rzucając różnobarwne blaski na ciemnozielone sukno portyer, maskujących drzwi do dalszych pokoi.

Leon zdjął z wieszadła swe wierzchnie okrycie i ku drzwiom się skierował, zdziwiony nieobecnością służącego. Już był przy drzwiach, nagle posłyszał szelest sukni po za jedną z portyer. Szalona nadzieja zamajaczyła przed jego wyobraźnią. Lecz już Trejne wysunęła się z fald sukna z brwiami, ściągniętymi boleśnie, z ustami skurczonemi charakterystycznym skrzywieniem.

— Pan idzie?—zapytała przyciszonym głosem.

— Idę! — odparł, czując, iż każdy nerw zaczyna mu drgać osobno, a przed oczyma latają płomyki.

— A lekcya?

— Jutro... dziś niepodobna!

— Dlaczego?

Porwała go za rękę, silnie wpijając mu paznokcie w dłoń.

— Ja chcę!...—rzekła gardłowym głosem.

— Puść mnie, panno Trejno! Śpieszę się, czekają na mnie...

— Niech czekają! Pan niech się wróci!

Oczy jej się iskrzyły tysiącem światełek; Leon pomimo wzburzenia rozumiał, że grał w grę

niebezpieczną, podniecając szalone nadzieje w głowie tej dziewczyny. Postanowił je przeciąć odrazu i uwolnić się od jej szaleństw.

— Idę i nie wrócę tu więcej—wyrzekł z jakąś okrutną radością, jakby sprawienie komuś boleści ulżyło jego zgorączkowanej duszy.

Lecz Trejne, jak kot zwinęła się nagle i schwyciła Leona za ramiona.

— Nie! nie! nie!—wołała.

Był to także nagle zbudzenie się uczucia w tej istocie, która powoli, kocim krokiem ku wyżynom kariery dążyła?

— Trejne, opamiętaj się! co cię ja obchodzi, masz narzeczonego!

— Nie chcę narzeczonego! niech jego dyabli porwą!... ja pana wolę!...

Z okrutną szczerością czepiała się tego człowieka, który podbił ją swą wesołością i wiewiórczem spojrzeniem oczu. Była w tej chwili sobą, zuchwałem dzieckiem lasów, czyniącem wybór według przekonania i chęci, odrzucając konwensanse precz, daleko od siebie.

Leon usta do krwi zagryzał. Ta dziewczyna, rzucająca się nagle na przejściu, zagradzająca mu drogę swem ciałem, doprowadzała go do szalonego gniewu. Nerwowo ścisnął w rękę laskę, tak, że cienkie okucie srebrne wpijało mu się w dłoń, nieosłonioną rękawiczką.

— Pozwól mi pani odejść.

Nagle drzwi wejściowe, przez Leona już uchylone, otwały się na rościę i stanął w nich Stanio, pobladły i znużony.

Jednym rzutem oka objął całą scenę: Trejnę uczeploną u ramion Leona, rozczochraną, rozgorączkowaną. Obłok krwawy przesunął mu się przed oczami, postąpił kilka kroków i zdławionym głosem wyrzucił z siebie jedno słowo:

— Sortez!

Drżącą ręką ukazywał Leonowi drzwi. Oczy mu krwią nabiegły, rysy się rozszerzyły, usta wykrzywione nagle, jakby kurczem przedśmiertnym, ukazywały szereg lśniących zębów.

Leon zmrużył oczy i z mocą najwyższą ręce Trejny ze swych ramion odczepił. Poczem zwrócił się do przyjaciela.

— Do kogo pan mówisz?

— Do pana!

— A!... zresztą wszystko jedno; temi drzwiami przyjdą jutro moi świadkowie.

— Pojedynek! wybornie! lecz... bez świadków.

— Wiec pojedynek amerykański.

— Tak...

To słowo zasyczało nagle w gardle Stania, jak syk nadeptanej gadziny. Dlaczego je wyrzucił? nie mógł zrozumieć. Chciał przyjąć pojedynek na szpady, na pistolety wreszcie, byle bez świadków, znajdując potworną rzeczą i niewłaściwą mieszać obcych ludzi pomiędzy siebie i swego przyjaciela. Leon rzucił słowo „pojedy-

nek amerykański”, on je przyjął... Dlaczego? powinien był odrzucić.

Nie chciał jednak dać poznać po sobie tego, co się w nim działo, powstrzymując więc nerwowe drżenie, zapytał.

— Spotkamy się zatem?

— U mnie!

— Kiedy!

— Jutro!

— O godzinie?

— W samo południe.

Zamienili jeszcze jedno spojrzenie. Źrenice Leona na w pół przymknięte miały w tej chwili pogardę i silne postanowienie nie cofnięcia się przed rozegraniem ohydnej, śmiertelnej partyi; oczy Stania przybrały wyraz obłąkanego zgnębienia. Z po za mgły spojrział na swego towarzysza rozpusty, który w tej chwili potężniał przed nim straszny odwagą i lekceważeniem własnej egzystencji. Nagle ciche, lekkie łkanie wyrwało go z odrętwienia. To Trejna, do firanki przyczepiona zawodziła z cicha, cała pod wpływem bolesnego uczucia rozstania się z Leonem. Rozmowy tych ludzi nie rozumiała, mówili bowiem po francusku.

W Staniu, zwierzę niezadowolnione, zwierzę ohydne uśpione w każdym mężczyźnie, ocucilo go z osłupienia i śmiertelnej grozy. Jednym skokiem znalazł się przy Trejnie i, schwyciwszy ją za ramiona, ku drzwiom popchnął.

— I ty... precz!

— Leon już był na wschodach, gdy posłyszał nagle otwierające się drzwi. Wybiegła z nich Trejne i szybko ku niemu się rzuciła.

— Ja... wszędzie z panem—wyrzekła miękko łaszczącym się głosem.

I tyle było jakiejś ufności w przytuleniu się tej czarnej, namiętnej dziewczyny do jego drobnego ramienia, że zużyty ten blagier uczuł się wstrząśnięty całym dotknięciem jej dłoni. W tej chwili, gdy śmierć zaglądała mu po prostu w oczy, zapragnął nagle jakiejś atmosfery miłości i bezgranicznego przywiązania.

— Ja... z panem — powtarzała, śmiejąc się przez łzy żydówka.

— Ma foi, c'est le sort!

Wyszli teraz na ulicę, która bramowała się już białawą światłością rewerberów gazowych.

Trejne dreptała obok Leona, kurcząc się, jak kocię czarne, z rozstaju podniesione.

— Chodź—wyrzekł Leon, ujmując jej dłonie rozpalone.

I poszli, ginąc w cieniu trotuarów, sprzęgnięci nagle na śmierć i życie tajemniczą dłonią losu.

XVIII.

„Nie szukaj pani Trejny, uwożę ją z sobą. Żart zmienił się w rzeczywistość. Dziewczę to przywiązało się do mnie istotnie. Oszlifuję brylant i, kto wie, może do ołtarza powiodę. Nie mam nic do stracenia, smutny jestem dziwnie, pragnę mieć koło siebie jakieś przywiązane stworzenie. Być może jednak, iż plany moje nie ziszczą się. Cokolwiek się stanie, pamiętaj pani, że i w piersi takiego, jak ja, człowieka coś się kołacze... Jeśliby stało się to, czego przypuścić nie chcę, daruj mi! Szanse były równe... Pomyśl czasem o mnie, nie przeklinaj! Je souffre de tout mon âme.

Leon.“

O świcie oddano Maryi ten list, pisany na oderwanym arkusiku papieru.

Młoda kobieta spędziła noc bezseną.

Ucieczka Trejny z pod jej dachu, ucieczka nagła, zgnębiła ją moralnie. Po wyjściu Leona, Marya udała się do swego pokoju, i tam, oddzielona całą masą portyer i drzwi tapetowych, nie słyszała ani słowa z potwornego dramatu, jaki się w przedpokoju rozegrał.

Jerzusz, bawiąc się na dywanie u stóp łóżka, zdrzemnął się i leżał z buzią zanurzoną w białe włosy skór niedźwiedzich. Marya przyklękała przy dziecku i machinalnie zdejmować mu zaczęła z nóżek niebieskie pantofelki.

— Mamus— wyszeptał chłopczyk, otwierając leniwie senne powieki.

— Tak, Mamus — odparła Marya głosem od lez nadbrzmiałym — śpij synku! śpij kochanie!

Rozebrawszy dziecko, usiadła koło okna, wpatrzona w przezroczystry szafir nieba, na którym iskrzyły się tysiące gwiazd migotliwych.

Odejście Leona, jego wyjazd, pozostawił nagle wokoło niej pustkę niezapełnioną. W odosobnieniu, w jakim żyła, w tym braku wszelkiej prawie styczności z ruchliwym światem, w którym na każdym kroku musiała ocierać się o kobiety, prześladowane względami męża, w tej samotności, jaką sobie sama dobrowolnie stworzyła, nie chcąc wtajemniczać obcych w bolesne koleje swego małżeńskiego pożycia, Leon zajął szerokie miejsce przyjaciela, doradcy i istoty, wnoszącej blask śmiechu na szare tło smutku i złamanych nadziei.

Inaczej jednak być nie mogło. Raz poznawszy istotny stan uczuć Leona, oddalić go musiała dla nienarażania się na słuszne zarzuty, zachęty i podniecania nadziei.

Postanowiła napisać do Antoniego, zmusić Trejnę do przyśpieszenia ślubu i, pozostawszy w ten sposób sam na sam z dzieckiem i mężem, zaproponować temu ostatniemu wspólny wyjazd na jakiś czas do Siemiatycz.

Antoni miał po ślubie z Trejną wyjechać na kilka tygodni z Horki, gdyż umysły żydów okolicznych nadto jeszcze chrztem Trejny wzburzone były. W ten sposób Marya mogła bezpiecznie przepędzić jesień w Siemiatyczach i z pewną ulgą myślała o tych dniach słonecznych, w których z drzew pada ulewa liści złotych o czerwonych odcieniach.

— Odpocznę! Zapomnę! Jerzusz nabierze kolorków, utyje, a kto wie!... może w Staniu zbudzi się teraz chęć do jakiegokolwiek pracy. Jest tak zmęczony, skołatany tem hulaszczem życiem; może i jego nerwy wypoczną w wiejskiej ciszy... i on zapomni...

Spojrzała przed siebie.

W ciemni nocnej wielkie mury sąsiednich kamienic zasłaniały jej horyzont, jak barykada, tamująca swobodę myśli. Z latarni płynął brudny strumień żółtawego światła i, spadając na trotuary, rozwlóczył po nich niepewne i niezdrowe blaski. Od czas do czasu przemknęła sylwetka

jakiegoś przechodnia, śpieszącego się i jakby przerażonego odgłosem własnych kroków. I tylko przyciszony, oddalony huk, jakby rwącej fali, całymi kłębami uderzał o milczące mury, w których powoli zapalały się światła, przecinając czarną masę jasnymi otworami. Z otwartych okien przeciwnego domu ciągle płynął nokturn Auber'a, porwany, niecierpliwy, bez najmniejszego artyzmu z klawiszy wyszarpywany. Nokturn to był tak brutalny, jak cała ulica; jak światło gazu, jak ta woń niebawna, tłuszczem przesiąknięta, która ulice miasta wypełnia.

Gdy Marya wreszcie oderwała się od okna, późna już była godzina. Młoda kobiata szybko cofnęła się i, zamknąwszy okno, zapaliła lampę. Poczem skierowała się ku drzwiom, prowadzącym do dziecinnego pokoju, w którym teraz sypiała Trejne. Zapewne dziewczyna, według swego zwyczaju, drzemała na sofce, czekając na herbatę.

Światło jednak lampy, którą Marya trzymała w ręku, padło na zupełną pustkę. Ani śladu Trejny. Nie była jednak zapewne daleko, bo mała pluszowa chustka, którą zawsze miała na sobie, leżała na środku pokoju. Marya powróciła do swej sypialni i weszła do salonu. I tu pustka zupełna. Przeszła jeszcze salę jadalną, zajrzała do małego pokoiku, obitego jasnym kretonem i obwieszzonego japońszczyzną. Nigdzie nie znalazła Trejny.

Przed drzwiami, prowadzącymi do gabinetu Stania, zatrzymała się chwilę. Słyszała najdokładniej skrzyp butów męża, przechadzającego się wzdłuż pokoju. W chwilach silnego zdenerwowania Stanio chodził tak zawsze, jak zwierzę, zamknięty w klatce.

Jak kobieta prawdziwa, poradziła się swego... przecucia. Ten tajemniczy głos nie mówił jej, że razem ze Staniem znajduje się Trejne. Powróciła znów do siebie szarpana niepokojem.

Zadzwoniła.

Po chwili zjawiała się piastunka.

— Jaśnie pani dzwoniła? Może Jerzuś?

— Nie, Jerzuś śpi spokojnie. Gdzie jest panna Joanna?

Pokojówka uśmiechnęła się lekko.

— O... panna Joanna!... nie wiem, zdaje mi się...

Marya uczuła jakby upokorzenie wobec słów tej dziewczyny.

— Mów prędzej. Czy wyszła?

— Tak! przed kwadransiem stałam przed bramą, o! tylko na chwilkę. Panienska wyszła razem z panem Leonem. Była zapłakana... i bez kapelusza... Panienska...

Lecz Marya przerwała jej szybko:

— Dość!

Dziewczyna wyszła, kryjąc uśmiech zadowolenia. Cała służba nienawidziła tej „wychr-

cianki”, która się stroiła, siedziała dnie całe z państwem i usługiwać sobie kazała.

— Dobrze tak pani—mruczała, wracając do kuchni — teraz despekt i skandal *bez* taką żydowicę.

Po wyjściu dziewczyny, Marya stała długą chwilę, jak do miejsca przykuta.

Leon? czyż to podobna? mógłżeby on się dopuścić tego kroku i sprawić jej boleść tak ciężką? Trejne była powierzona jej opiece! Z jakim czołem stanie teraz przed Antonim? jak odpowie na jego rozpaczliwe pytania?

Przez godzinę jeszcze ludziła się, że Trejne powróci, że lada chwila zadzwoni do bramy, zmuszona do powrotu przez Leona; lecz północ wybiła na kolejowym zegarze, a milczenie panowało zupełne.

Powoli podniosła się Marya z fotelu, na który się była osunęła, i potarła ręką czoło.

Tak! uda się do męża. On, jako pan domu, powinien ochronić swój dach od skandalu, jaki ztąd wyniknąć może.

Podszedłszy pod drzwi gabinetu, stała chwilę, nagłą nieśmiałością zdjęta. Byli teraz „wzorowem małżeństwem”, widującym się tylko u wspólnego stołu. Marya nie wchodziła nigdy do pokoi męża podczas jego obecności. Z trudnością więc poruszyła za kłamkę.

Drzwi były zamknięte wewnątrz, Marya lekko zastukała.

Skrzyp obuwia nagle ustał.

— Kto tam?

— Ja, Marya!

— Czego?

Głos Stania zabrzmiał nagle jakby przerażony.

— Pragnę z tobą pomówić.

— Za chwilę!...

Marya usłyszała szelest papierów, pośpieszne zamykanie szuflad, wreszcie drzwi się otworzyły. W żółtawem świetle źle płonących świec, ukazał się jej oczom mąż, jakby znużony, zgębniony, pochylony ku ziemi.

Cofnął się do biurka, na którym zostały porozrzucone jakieś świstki, pokwitowania i kawałki podartych listów.

Trzy świece, oprawione w srebrny kandelabr rzucały ponury blask pochodni na złoconą skórę, jaką ściany gabinetu były wybite.

— O co chodzi?

Maryę uderzył zmieniony dźwięk głosu męża.

— Czy jesteś chory?...

On wzruszył ramionami.

— Quelle idée!

Ręką wskazał fotel z wysiłkiem kurtuazyi.

Maryę głową skinęła.

— Nie zajmę ci wiele czasu. Chcę tylko powiedzieć, że Trejna... wyszła z... Leonem... i...

Grymas wykrzywił usta Stania.

— I nie wróciła... Wiem o tem.

— A!...

— Tak! I to ja sam ją wypędziłem.

— Ty?... Ty śmiałeś. Ty mogłeś to uczynić?...

Za co? Dlaczego?...

— Musiało się tak stać. Pan Leon musiał zabrać swoją najdroższą! Oh! le beau couple!...

Usiadł nagle przy biurku, jakby złamany, i oparł głowę na rękę.

Maryja zbliżyła się ku niemu.

— Trzeba, nie tracąc czasu, ażebyś pojechał do Leona i przemówił do jego honoru!

Oczy Stania zaświeciły nagłym blaskiem.

— Zbyt jesteś łaskawą, wyprawiając mnie do Leona. Bądź pewna, że usłucham twej rady i pójdę tam. Tylko nie teraz i nie po twoją Trejną...

Zerwał się znów z miejsca i zaczął szybko pokój przebiegać. Maryja śledziła go z wzrastającym wzruszeniem. Sądziła, iż myśl po utracie Trejny przejmują go taką rozpaczą. Przez chwilę szukała w umyśle czegokolwiek, czem by mogła uspokoić te rozszalałe nerwy.

— Może chcesz Jerzusia zobaczyć? — zapytała nieśmiało.

W swej wielkiej czystości uczuć sądziła, iż widok dziecka zdoła uspokoić rozigrane zmysły.

Lecz on rzucił się, jak szalony, przecinając rękami powietrze.

— Nie chcę! nie chcę! Nie mów mi o niczem!

Upadł na szeroką i niską sofę, wciśniętą pomiędzy szafy biblioteki i zanurzył głowę w haftowane złotem poduszki.

— Nie chcę słyseć o niczem!... Nie chcę!...

Maryji ścisnęło się serce niewypowiedzianym bólem. Tak więc głęboko wpiła się w krew tego człowieka ta dziewczyna, że pada niemal bezprzytomny i z jękiem woła: „nie chcę słyseć o niczem!?”

Zakryła twarz rękami i tak stała, jakby skamieniała, nie mogąc odejść, nie śmiejąc się poruszyć.

Nagle jęk Stania ustał. Mężczyzna porwał się z sofy i ku żonie się zwrócił.

— Czego tu stoisz, jak zły duch, sprowadzający mi nieszczęście? Czy nie widzisz, że szaleję, że od zmysłów odchodzę!?, Do Leona! do Leona każesz mi iść o! ty, złowróbnny kruku!...

Oczami, nabiegłymi krwią, wkoło potoczył. Nagle, wskazując na trzy świece, migocące w ramionach kandelabra zawołał:

— Zgaś jedną!... Zgaś! zgaś prędzej! Słyszysz!...

Maryja, chwiejąc się, do biurka podeszła. Z wysiłkiem zdmuchnęła płomień dwóch świec. Pozostał tylko jeden płomień smutny, żalobny, chylący się pod wpływem podmuchu wiatru, pływającego od przysłoniętego draperyą okna.

— Po co tu przyszłaś?—zaczął znów mąż.— Podpatrywać, szpiegować?... O! ty, święta!... Za-

wsze wyniosła i nietykalna!... Spadłaś mi nagle z testamentem, jak dachówka na... głowę!... C'est du propre!... Cała ta intryga była nieźle osnuta!...

Marya zachwiała się pod tym ciosem.

Jaki demon oplątywał umysł tego człowieka, że brutalnie, zwykłych, zimnych konwenansów się pozbywszy, ciskał jej w oczy obelgę i ranił boleśnie jej dumę?

Co się działo w głębi tej duszy, tragicznie się szarpiącej w jakiejś bezsilnej, potwornej trwodze? Jakie widma rozsnuwały się przed jej oczami w żółtym półcieniu tych ścian, złotem pokrytych? Kilkakrotnie Marya zносиła już ataki nerwowe męża, lecz nigdy nie zapomniał się tak strasznie i nie bryznął jej w oczy potokiem słów raniących.

Nie próbowała się bronić; przymknęła tylko oczy na chwilę, jak ci, którzy nie chcą widzieć przed sobą przepaści najeżonej odłamami zabójczych kamieni.

Lecz podczas tej krótkiej chwili myśl jej cała pobiegła do kołyski dziecka. Syn jej prosił o przebaczenie dla ojca i pod tym, nienawistnym jej od tej chwili, dachem, pozostać rozkazywał.

Milczenie zapanowało znów ciężkie, złowróżbne, gniotące.

Wreszcie Marya od biurka się oderwała.

— Odchodzę — wyrzekła przyciszonym głosem — widzę, że cierpisz, a obecność moja cię drażni.

Ku drzwiom się skierowała, lecz on drogę jej sobą zagroził.

— Naturalnie! odchodzisz, wierna i kochająca żono; skoro mąż cierpi, żona odchodzi. Ça va sans dire!...

Rozśmiał się ironicznie i ręce na krzyż założył.

— Czegóż jednak mogę [żądać od ciebie? Ty szukałaś pod dachem moim karyery, pozycyi, petit souillon, jakim byłaś!

Ona ani drgnęła, oswajając się powoli z tą nową torturą, jaka na nią spadła.

Lecz on dalej ciągnął swe ironiczne słowa. Cała nikczemność tego charakteru wyszła na jaw, wobec tchórzostwa, przepelniającego go na myśl o jutrzejszem z Leonem spotkaniu. Jak zwierzę dziki, zraniony, zatapiał pazury i rwał na kawałki serce bezbronnej kobiety.

Do tej chwili szanował w niej kobietę i matkę syna; w zgniliznie zepsucia miał jeszcze ten wzgląd wpojony razem z zasadami savoir-vivre'u, lecz w tym momencie śmiertelnej trwogi deptał wszystko, znajdując niejako ulgę w tej krwawej, z lez kobiety złożonej, biesiadzie.

Tak! bezwąt্পienia. Ona, a nie kto inny podsunął ciotce Elżbiecie myśl piekielną dodania do testamentu owego kodycylu. Dziś musi być szczęśliwa, marzenia jej się ziściły. Lecz... niech nie cieszy się przedwcześnie. Ten majątek,

o który jej tak chodziło, nie istnieje... dawno już stopniał i poszedł gdzieś w świat! Tak! tak! nie-inaczej; ani ona, ani jej syn nie dostaną nic w razie jego śmierci! i szczęśliwy jest, że się tak stało! szczęśliwy bardzo! nie pozostawi po sobie, nic! nic! przejrzał przed chwilą stan majątku... o tak, dla zabawy, i przekonał się, że nie ma nic, prócz długów!...

Wybuchnął śmiechem przeciągłym, nerwowym. Pot ściekał mu obficie z czoła i srebrzył się w niepewnym blasku świecy.

Nagle ręce do szyi podniósł.

— Duszę się!... — zawołał.

Marya podstąpiła kilka kroków, lecz on obłąkanym na nią spojrzawszy wzrokiem.

— Nie dotykaj się mnie! Idź! idź! ty mi nieszczęście przynosisz! i teraz mi nieszczęście przyniesiesz! Idź!...

Osunął się na krzesło, stojące koło drzwi, oddychając ciężko.

Tymczasem Marya szybko wysunęła się do salonu i, dopadłszy drzwi swego pokoju, na klucz je zamknęła.

Wśród rozrzuconej pościeli spał Jerzuś, uśmiechnięty, cały różowy, obłany łagodnym światłem veilleusy. Już od progu sypialni nogi odmówiły Maryi posłuszeństwa. Upadła na klęczki i dowlokła się z trudem do łóżka dziecka.

— Boże! miej litość nad nami! — wyszeptała zdławionym od łez głosem.

.....

Kiedy wczesnym rankiem zastukano do drzwi jej sypialni, w przeczuciu ciągłych teraz nieszczęść, skoczyła śpiesznie z łóżka. Z febrycznym drżeniem przebiegła bilet Leona. Więc — stało się. Trejna pozostała przy nim! Lecz co znaczyły dalsze słowa listu. Czy miały się odnosić do porwania Trejny? Prośba o przebaczenie? o! zapewne, bo ciężka była wina tego człowieka! ciężka bardzo!

Kołać o powrót Trejny, zmuszać ją do małżeństwa z Antonim, nie było rzeczą możliwą. Lepiej, że serce Trejny zbudziło się teraz, niż gdyby się to stać miało po ślubie. W każdym razie był to jednak straszny cios dla Antoniego. Marya w tej chwili już rozbierała słowa, w jakich mu tę żalobną wiadomość zapowie.

Nie zwlekając, wysłała telegram, obmyła pobladłą twarz wodą — i kilkakrotnie podchodziła do gabinetu męża, nie śmiejąc jednak po wczorajszej scenie ani zapukać, ani wejść tembardziej.

Służba snuła się po pokojach cicho, zamieniając pomiędzy sobą znaczące spojrzenia.

Jedno z takich spojrzeń podchwyciła Marya i czempredzej cofnęła się do swego pokoju. Te

chłodne, ironiczne spojrzenia domowych wrogów sprawiała jej ból dotkliwy.

Po raz pierwszy uczuła, że straciła grunt pod nogami, że tonie w jakimś rozmokłym błocie.

Około południa usłyszała drzwi gabinetu otwierające się gwałtownie. Szybko poskoczyła ku drzwiom salonu. Uniósłszy portyere, zobaczyła męża, przechodzącego w kierunku przedpokoju. Miał na twarzy gorączkowe wypieki, a zapadłe oczy świeciły niezdrowym ogniem. Twarz mu się przedłużyła, nos występował silną linią. Marya z przerażeniem dostrzegła zmianę, jaką noc ta uczyniła w tych pięknych rysach. Jasne światło poranku, płynące z otwartych okien, wydobywało jeszcze wyraźniej na jaw piętno cierpienia, rozlane na twarzy Stania.

Zobaczywszy żonę — stanął, jakby chcąc przemówić jakieś słowo, lecz wprędce zaciął wargi i ściągnął brwi. Przeszedł sztywno i prosto salon, poczem zniknął po za draperyą portyery.

Marya stała jeszcze chwilę, jak przykuta, mając ciągle przed sobą tę postać mężką, zdrewnioną cierpieniem, a mimo to podnoszącą znów hardo głowę, jakby z wyzwaniem niewidzialnemu wrogowi.

Powróciła do kołyski Jerzusia.

Dziecko, wstawszy rano, zażądało znów snu i, ułożone na atlasie kołderki, zasnęło, cisnąc do piersi małego pajaca w purpurowej bluzie.

Marya sięgnęła po książkę, leżącą na stoliku, i zaczęła przewracać kartki. Była to „Jeunesse d'un homme” Charpentier'a, silne a głębokie studium życia ludzkiego. Marya usiłowała ogłuszyć się i zmusić poniekąd do uwagi rwące się w bezładzie myśli.

Czytała krótką chwilę, nie wiedząc co czyta, niemogąc nic zrozumieć w chaosie liter, które jej się przed oczy tłoczyły.

Mały zegar, stojący na ozdobionej bronzami komódce, wydzwonił dwunastą.

I nagle, z łódeczka porwał się Jerzuś z głośnem lkaniami.

— Tatusi!... tatusi!...

Marya do kołyski dopadła.

— Co ci, synku? dlaczego płaczesz!

Dziecko z przestachem głowę do piersi matki tuliło.

— Tatusi w jamę wpadał... — wyszeptał urwanym głosem.

Maryę przeszedł mimowoli dreszcz trwogi.

— Śniło ci się, aniolku! Tatusi je teraz śniadanko!

Lecz dziecko, ciągle drżące, tuliło się do matki, zdjęte trwogą przed sennem widziadłem, szepcząc imię ojca, który, prócz nieprzychylnego spojrzenia, nigdy nic więcej dla niego nie miał.

.....

Kelner, zdejmujący z tablicy klucze dwudziestego numeru, z pewnym niepokojem spojrział na stojącego przed nim gościa.

— Trochę wysoko, jaśnie panie!

Młody człowiek nie odpowiedział nic, miał nerwowo zaciśnięte usta; skinął tylko nieznacznie ręką, pokazując kelnerowi białą linię schodów.

Służący poszedł pierwszy, skacząc po kilka stopni, obok płótna, pokrywającego czerwony wojłok chodnika.

Idąc, ukosem spoglądał na nowoprzybyłego.

Młody ten pan nie budził w nim zaufania. Wyglądał, jak człowiek, powracający z nocnej hulanki, dobrze podcięty. Szedł wprawdzie prosto, ale widać było, że przychodzi mu to z trudnością. Na zakręcie schwycił nawet sznur, a kelner dostrzegł wyraźnie, że ręka mu drżała.

Drugą rękę, prawą, trzymał uparcie w kieszeni od spodni, jakby ukrywał tam jakiś przedmiot.

Doszli wreszcie do drzwi numeru, na których czerwieniła się, jak plama, teczka „Dziennika anonsowego”.

Kelner z brzękiem drzwi otworzył.

Przed przygasłymi oczyma Stania ukazał się niewielki, kwadratowy pokój, zalany poprostu strugami słońca. Dwa łóżka, pokryte czerwonymi adamaszkowymi kołdrami, wyciągały się po dwóch

stronach ścian. Na lewo od wejścia stała czerwona, aksamitna kanapa, źle oczyszczona, jakby pyłem posypana. Przed nią stół, a na nim sakramentalne zapalki w porcelanowej podstawce, cztery asy imitującej. Pomiędzy oknami lustro, pod niem komoda z powyciąganymi szufladami. Kelner do komody dopadł i szuflady zasuwą szybko.

Stanio stał ciągle przy stole, wpatrzony w treflowego asa, czerniejącego na tle białej porcelanowej karty.

— Czy jaśnie pan tu pozostanie?

Stanio głową skinął.

— Może wody?

— Nie... chcę odpocząć trochę... zasnę... proszę mnie nie budzić... jestem zmęczony...

Odrzucił głowę, jakby kryjąc twarz przed badawczym spojrzeniem kelnera.

— Jaśnie panie...

— Al!... o co chodzi?...

— Papiery, pasport... taki przepis.

Stanio ręką do kieszeni kurtki sięgnął.

— Proszę!...

Podał kelnerowi pasport, odebrany wczoraj w ratuszu. Miał mu służyć do Aix-les-Bains.

Kelner pasport za fartuch schował.

— Czy nic już nie potrzeba?

— Nic!... al...! jeszcze... chciałbym koniaku. Jaki tu macie? Jest Martel? fine Champagne?

— Nie wiem, jaśnie panie, to nie mój wydział. Przyślę tu kelnera z restauracyi.

— Nie! nie!... nie przysyłaj nikogo! przynieś sam!

— Dobrze jaśnie panie!

Wyszedł. Za kilka minut zastukano znów i w czarne sukno ubrana ręka wsunęła butelkę fine Champagne'u na srebrnej tacce i maluchny, przejrzysty kieliszek.

— Dziękuję... proszę mnie już nie nachodzić, dopóki nie zadzwonię!

Drzwi się zamknęły—i Stanio pozostał sam jeden.

Odsunął stół i usiadł na kanapie.

Siadając, wyjął z kieszeni mały rewolwer, niklowany, z hebanową rączką. Słońce jasną fala uderzyło w stał i zabłysło w niej tysiącem ostrych promieni. Stanio jakby zahypnotyzowany, wlepił oczy w tę promienną gwiazdę i siedział tak bez ruchu i na pozór bez myśli.

A jednak—pod jego czaszką kłębiła się cała masa myśli krótkich, urywanych i piekących, jak ostrze żelaza. Tylko wrażenia te ciemniały w jakimś przyniatającym go chaosie. Nie miał już sił do szamotania się tak, jak to czynił noc całą. Nad ranem upadł na sofę, kamiennym snem zmo-

zony. Zbudził się z niego, jak lunatyk, poddając się już biegowi wypadków. Nie chciał się cofnąć od śmiertelnej potyczki z Leonem; był zanadto dobrze wychowany, aby mógł odsunąć możliwość nawet amerykańskiego pojedynku. Przyjął go. Dziś za nic, za skarby Golkondy, cofnąć się już nie mógł! Ludzie, żyjący w takim, jak on, świecie, nie drżą przed przegraną całych tysięcy w karty, nie cofają się przed wyciągnięciem czarnej galki z cyzelowanego złotego kubka.

Dlatego-to Stanio nie drgnął także, sięgając do świecącej czarki, którą przed nim równie spokojny i błądy postawił Leon.

Nie przemówił ani słowa, obaj zupełnie correct, jak ludzie, którzy czują, że za pierwszym słowem popłynąłby cały potok serdecznych wyrazów, rwących ręce do uścisku i wzajemnego przebaczenia.

Lecz żaden z nich, żaden z tych ludzi, stawiających z fałszywą odwagą nogę nad przepaścią grobu, nie dał nawet poznać po sobie, jak cierpiał, zanim zdołał opanować rozigrane nerwy, drżące mięśnie.

I gdy w dłoni Stania zaciemniała mała, niewielka galka szklana, ciemnozielona, pożyczona u jasnowłosej dziewczynki sąsiadów, z tabliczki Solitera, Leon doznał nagłego olśnienia, jakby zahypnotyzowany tym czarnym punktem, który

w przelocie zaciemniał na pokrajanej brózdami dłoni przeciwnika.

Było to jakby uczucie ulgi, ale zarazem ciężkie pchnięcie sztyletu w ten punkt naszej duszy, który ludzie nazywają sumieniem.

Poprawność jednak, prześladowająca od kołyski dobrze urodzonych ludzi, nie dozwoliła mu ujawnić ani jednego ruchu, ani drgnienia muskułów, choć wszystko w głębi jego duszy rwało się na strzępki.

Nieruchomy, na tle czerwonych draperyi, okrywających ściany jego saloniku, pozostał tak chwil kilka po odejściu Stania. Ważył w swym umyśle, co mu uczynić wypadało. Znal przecież kodeks honoru! Powinien milczeć i odepchnąć od siebie wszystkie podejrzenia. Zglębił swe usposobienie. On w takim razie, gdyby jemu ciemna przypadła gałka, uczuł by się podwójnie znieważony rodzajem litości przeciwnika. Nie przyjąłby darowanego życia. Raczej po raz drugi stanąłby do śmiertelnych zapasów...

Powoli zaczął tłumić w sobie lepsze uczucie, jakie się na dniu jego serca ruszyło. Zabije się? Dieu de ciel! umrze cokolwiek wcześniej, niż umrzećby powinien. Oswobodzi Maryę i resztę zrujnowanego majątku ocalić jej pozwoli. Zresztą... szanse były równe.

Jedno czuł jeszcze dokładnie.

Marya dla niego, dla Leona, straconą była na zawsze. Śmierć Stania kładła pomiędzy nimi moralną baryerę. Stanio, jako człowiek correct, rzecz tę upozoruje samobójstwem zapewne, lecz on w głębi siebie wie, iż wdowa po jego przeciwniku jemu swą żalobę zawdzięcza. On a beau être sceptique, są rzeczy silniejsze nad wszelką blagę.

Trzeba więc wyjechać, wyjechać jaknajprędzej i w gorącym objęciu Trejny szukać zapomnienia. A jeżeli nie przyjdzie... samemu można stoczyć z sobą amerykański pojedynek. Na to czasu dosyć! „Smith i Wessou”—tyle ich migoce po za przezroczem szyb sklepowych.

Taką samą broń, artystycznie wyrobioną, położył przed sobą na stole hotelowym Stanio i uparcie wlepił w nią krwią nabiegłe źrenice.

Ta straszna, okrutna noc, podczas której widmo śmierci wstrząsało go konwulsyjnie dreszczami, rozwinęła w nim niezachwiane postanowienie.

W razie wyciągnięcia śmiertelnego wyroku, postanowił sobie niezwłocznie odebrać życie. Nie chciał się dłużej poddawać tej okropnej torturze. Miał dziś dość odwagi, aby ku sobie broń skierować, lecz... nie mógł przenieść na siebie myśli, że musi przestać istnieć. Czuł, że ogarnia go tchórzostwo, że jutro może nie zdołałby stać się własnym katem, a wtedy... wtedy cóżby się

stało z jego... honorem? I człowiek ten, który z zimną krwią od podrostka oddawał się próżniactwu i rozpuście, który ze słodkim uśmiechem plamił honor mężów i sławę żon i matek, 'człowiek, który, odziedziczywszy słoneczny szmat ziemi, niszczył ją, jak Wandal, zda się krew z niej dla trochy grosza wypijając, aby grosz ten roztrwonić następnie w Trouville lub Etretat, tonącym w blond świetle złotawego piasku, człowiek ten, dla ocalenia swego honoru, wyciągał rękę w kierunku hebanowej rączki rewolweru i ogłupiały, przybity, płacił życiem za kilka słów, zamienionych podniesionym głosem, słów banalnych, jak jego życie całe, jak życie viveur'a, wlokące się szarem, trywialnym pasmem, pomiędzy bulwarem paryskim, piaskiem ostendzkim, wanną w Aix la Chapelle i wreszcie ciasnymi ścianami mieszkania w Warszawie...

Twarz Stania, pomimo całej masy słońca, powlokła się szarawą barwą. Usta mu obwisły, a w kącikach zamigotała ślina. Poruszył się powoli, podniósł rękę i nalał sobie trzy miarki koniaku jedną po drugiej. Wstrząsnął się gwałtownie i ręce mu opadły wzdłuż bioder. Siedział znów nieruchomy, w świecące się ciało rewolweru wpatrzony...

W sąsiednim numerze krzątała się dziewczyna hotelowa, zmieniając pościel, przesuując łóżko. Z po za drzwi zamkniętych i zasłoniętych

szafą słyhać było wyraźnie jej głos czysty i dźwięczny, nucący jakąś urywaną piosenkę.

Chwilami piosenka ta urywała się nagle i znów nawiązywała z pewnym uporem, kręcąc się koło kilku nut przeciągłych, jak echo, włózące się po lesie.

Stanio mimowoli nuty te echem łowił; ot... za chwilę powrócą... nikną... znów wracają!... Są!...

O żonie, o dziecku myśleć nie chciał. Po co? na co? Wpadło to małżeństwo mu w życie nagle, przyjął je, chwilę nawet upoił się dziewiczym wdziękiem żony. Później dwoje tych, na pozór najbliższych osób, zajmowało tak mało miejsca w jego istnieniu! Czem był dla nich? czem oni dla niego? Egoista, samolub, spróchniały z gruntu, nie czuł piękna w uśmiechu dziecka, w spokojnym uścisku żony. Nie miał więc w tej chwili okruszyny żalu za niemi. Jeśli żałował kogo... to—samego siebie!

Sięgnął znów po butelkę z koniakiem.

Nie nalewał już płynu w kieliszek, przytknął szyjkę do warg i wlewał wprost w usta. Tak lepiej, odrazu pochłonie więcej. Odurzy się może, choć...

Ostry zapach napoju, zapach ananasa i truskawek świeżych przypomniał mu nagle Café riche i Tour d'Argent. Postawił butelkę, przeniósł się myślą do suterenu Orpheum, lub mizerynych klombów Jardin de Paris. We mgle prze-

mknęły przed nim zwartym szeregiem kankanu-
jące tancerki w kłębach batystu i koronek. Jedna
z nich miała rozryzowane pióro i obszarpaną
spódnicę. Była rigolo, Leon się w niej za-
kochał.

Leon!

Głowa Stania mimowoli cofnęła się nagle
wstecz, dolna szczęka opadała coraz niżej, ury-
wany oddech wydobywał się z piersi.

Numerowa wciąż śpiewała.

Teraz otworzyła okno i trzepała dywanik.

Każde uderzenie derki o ramę okna spra-
wiało na Staniu wstrząsające wrażenie. Zdawało
mu się, że ktoś płaską deską bije go po czaszce.
I nagle postanowił skończyć. Życie było głupie
i niezdolne... Wszystko się psuło... Dalsze istnie-
nie przedstawiło mu się nagle, jak czarna prze-
paść.

Pewną, silną ręką sięgnął po rewolwer.
Czekał teraz tylko oddalenia się dziewczyny.
Zamknęła okno i, śpiewając ciągle, wyszła z po-
koju, trzaskając drzwiami. Szła teraz przez ku-
rytarz, a piosenka jękliwie się za nią wlokła, do
drzwi numerów kołując...

Stanio pomacał się po skroni, otworzył oczy
i zaraz je przymknął, unosząc wrażenie jasnej
strugi słońca i niepewnej zieleni drzew, ciemnie-
jących na środku hotelowego dziedzińca.

Prawie bezwłasnowolnie cyngiel nacisnął
chwile jeszcze zawahał się półkorpusem, i nagle...
osunął się na kanapę, waląc się głową naprzód
na zniszczone sprężyny, które przeciągle jęknęły
pod tym śmiertelnym ciężarem.

Honorowi... stało się zadość...

*

*

*

Nie już niebieska, ale szafirowa poprostu
włóczyła się w przestrzeni barwa, malując na
błękit kępy drzew, leszczyny i paproci Woł-
chowskiego uroczyska. I była to jesień tak
przejrzysta, czysta, ze srebrnymi niemi, przecina-
jącymi powietrze, że się Styr cały srebrzył w niej,
jak tafla szkła w kryształ rznęta i masy wierzb
karłowatych, ciemnych i do ziemi przysiadłych
oprawna. I tylko z poza tych barw błękitnych
złocili się już żółkle liście, od spodu poczerwie-
nione, które jak stado wyzłoconych ptaków, pod-
rywały się z gałęzi drzew i razem z wiatrem krę-
ciły się w powietrzu. Poczem wszystko umilkło;
jakiś lekki zapach, jakby spalonego drzewa, po-
wiewał z głębi lasu i tylko trzcina zakolysała się
nieznacznie i Styr mrucał, sunąc coraz dalej.
Niebo miało błękit przejrzysty, jakby lekką białą
gazą pokryty. Gaza ta kłębiła się ku górze
i z niej wypływała jasna tarcza słoneczna. Po za
wzgórzami uroczyska w błękitnych liniach, ginęły

dalsze plany. Czasem nagi szmat pagórka błysnął białym bokiem. Czasem kopuła cerkiewki zamigotała w blasku. I było to nieprzejrzane morze błękitu, w którym tonęły drzewa, pola, łąki i zakręty rzeki. Jak płaszcz królewski, tak rozsuwał się dokoła ten szafir przezysty, wypełniał przestrzeń, przypadał ku ziemi, ciągnął się po ścierniskach. Były to całe płaty krepy błękitnej, nagle na ziemię opadłej i łagodną, słodką barwą owiewającej wszystko, łagodzącej ostre tony złota jesiennego.

W błękit ten wpatrzona, stała nad brzegiem rzeki Marya w ciemnych swych szatach żalobnych. Lecz po jej twarzy poblądłej igrał już płomień pogodny, piersi całą siłą wciągały zapach poruszonej ziemi, ziemi tłustej, ciemnej, wielkimi płatami z pod pługa się odwalającej. Obok niej, w fałdy jej kiru wciśnięty, Jerzuś wychylał swą kędzierzawą główkę i, cały zaróżowiony od rozkosznego powietrza, z uśmiechem fale Styru śledził, po których gałązki wierzbiny płynęły, goniąc kawalki kory, zczerniałe i nawpół przegniłe w wodzie.

I nagle dziecko wyciągnęło rączkę i w dal ją skierowało.

— Mamusiu, to nasze?

— Nasze, synku, nasze!

Głos jej brzmiał radością serdeczną.

Od roku już bawiła w Siemiatyczach po to, aby pozostać w nich na zawsze. Po otrzymaniu strasznej wieści, która ją okryła kirem wdowim, zapadła ciężko na zdrowiu, nie mogąc, jak prawdziwa kobieta, przenieść z męską odwagą nagłej śmierci męża. Lecz z czasem, zmuszona koniecznością zajęcia się okruciami majątku, który ocalić należało dla dziecka, podniosła się siłą woli i stanęła gotowa do czynu. Samobójstwo Stania, do ostatniej chwili dla niej niezrozumiałe i niewytłómaczone, przez długi czas bezustannie zajmowało jej umysł. Przebaczyła mu wszystkie błędy, zapomniała o opuszczeniu, w jakim ją mąż pozostawiał i, przypominając sobie pierwsze chwile małżeńskiego pożycia, budowała w sercu swem maleńką kapliczkę dla zmarłego, kapliczkę serdecznego przywiązania i smutnej litości, którą miała kiedyś otworzyć przed oczyma syna, skoroaby jakaś wątpliwość w umyśle dziecka zbudzić się miała.

Z całej powodzi długów zdołała, przy pomocy Antoniego, uratować Siemiatycze, i do nich, jak do portu cichego, dążyła teraz w swych wdowich szatach i z dzieckiem u boku. Odświeżyć dom, uczynić go mieszkalnym, zająć się sama gospodarstwem, ulepszyć, o ile możliwości, smutny stan ziemi i lasów, usunąć Szmula, wyrzucić po wyekspirowaniu, przez ciotkę Elżbietę zawartych kontraktów Niemców, oto był teraz cel młodej kobiety.

I po dniu pracowicie spędzonym, jak ongi, przed laty, szła teraz w stronę uroczyska, prowadząc dziecko, słuchając jego szczebiotu, pławiąc się w słońcu, w barwach, w przestrzeni...

Doszedłszy do uroczyska, spoglądała w stronę Horki, i tak, jak ongi, przed laty, na Styr patrząc... czekała.

Nagle po wężu srebrzystym, lekko się chybocząc, z po za grupy wierzb do ziemi przypadłych, wysunęła się łódka, a głos męski, dzwiczny, wołał radośnie.

— Hop! hop!

Ona uśmiechnęła się tylko spokojnie, cała wyzłocona w blasku słonecznym i zamiast niej Jerzusz po brzegu skacząc, wołał, rączki do ust przytuliwszy:

— Hop!... hop!...

Wówczas z łódki podniosła się powoli biała wyżlica i przednimi łapami o drzewo się oparłszy, radośnie ogonem kręciła.

Jerzusz tymczasem rączki wyciągał.

— „Cytra”! pójdz tu psina!...

Łódka do brzegu przybiła, kołysząc się, dzwoniąc łańcuchem. Antoni w piasek ją wbił i za chwilę na brzegu Jerzusia wysoko podniósł.

Chłopiec śmiał się przeciągle, a „Cytra” podskakiwała w górę, starając się małe nóżki, ubrane w czarne długie kamaszki, pochwycić.

— Jerzusi!... dosyć! Ależ... panie Antoni! przywitaj się pan ze mną!

I młoda kobieta wyciągnęła obie ręce do przyjaciela, który, dziecko na ziemi postawiwszy, do matki przypadał.

— O, Jezu! jakim szczęśliwy! też myślałem, że się już dzień dzisiejszy nie skończy!

Siadali oboje zawsze na zwałonym pniaku, a Jerzusz, w masie liści i mchu szeleszcząc, przewracał się z „Cytrą”, która białem swem cielskiem na tle jego czarnego ubranka jak plama się znaczyła.

— Co pani dziś robiłaś?—pytał posesor.

— Och!... co ja też dziś nie robiłam! Zapytaj pan Bukowskiej i Władysławowej, zapytaj pan ogrodnika i leśniczego, i dyrektora Smolarrenki, i... Szmula.

— O! zwłaszcza Szmula!

— Co pan chcesz! pozbyć się go nie mogę! Pan wiesz, postanowiłam! Niema sposobu!

— Wiem, niema sposobu!

Milczeli oboje... nagle posmutnieli.

— Może, z czasem — wyrzekł wreszcie Antoni.

— A może on się zmieni, kto wie, kto to wiedzieć może!

Antoni roześmiał się ironicznie.

— On?

— Jeśli nie on, to jego następcy.

Mężczyzna milczał znów chwilę.

— Ta, daj Boże!—wyrzekł cicho.

Oboje nie wspomnieli nigdy o tem, co nad ich głowami przeciągnęło, jak kłęska, jak ręka upiora.

Trejna zdawała się nigdy nie istnieć na świecie.

Z większą, niż się spodziewała Marya, energią, zniósł Antoni wiadomość o jej ucieczce. Cały przejęty nieszczęściem Maryi, samobójstwem Stania, ruiną ich majątku, w pierwszej chwili jedynie zachwiał się, lecz wkrótce odzyskał równowagę. Zdrow, silny ciałem i duchem, otrząsnął się z miłosnego cierpienia. Tak on, jak i Marya, w walce swej życiowej wiedzieli, że „miłość nie jest rdzeniem życia”. Po za upojeniem zmysłów mieli jeszcze szerokie horyzonty pracy i obowiązków. I dlatego pierwszym zawsze słowem powitania było dla nich:

— Co pani dziś robiła?

I ona spowiadała się ze swych trosk i kłopotów gospodarskich, radziła się, badała, a on, uśmiechnięty radośnie, odpowiadał jej swym dźwięcznym męskim głosem, który het, w dal po uroczysku się rozlegał, zdrowo, jasno, donośnie, jak harmonia nieskończona.

Jerzusz tymczasem wciąż biegał, jak czarna kulka, po złotym pokładzie liści, a „Cytra” szalała za nim, rozrzucając z szumem zeschłe, łamiące się gałęzie. Dziecko promieniało zdrowiem i weselem, ramionka rozwijały się, zarodki cho-

roby zwyciężyła rozkoszna woń ziemi i jasne, przeczyste słońce.

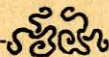
Lecz oczy Antoniego powlokły się powoli cieniem łagodnej melancholii. Cień tej zadumy zdawał się płynąć od Maryi, siedzącej cicho i zapatrzonej w przestrzeń.

Wzrok mężczyzny popłynął w ślad za spojrzeniem kobiety i zawisnął w błękitnej przestrzeni. I oboje, pogrążeni w tem bezgranicznym spojrzeniu, mieli prawdopodobnie myśl jedną, myśl w serdecznym uczuciu skąpaną, bo milczeli, jakby im słów nagle zabrakło, i tylko ręce ich prawie bezwiednie splotły się uściskiem...

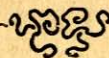
K O N I E C.



77132/4



Przypominamy Szan. Prenumerato-
rom, że czas odnowić prenumeratę
o o na II kwartał 1912 r. o o



WYCIĄG Z KATALOGU
„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ
WYBOROWYCH“ (Warszawa, Sienna № 2) i we
wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
413. Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r.	55	40
414, 415. Berta bar: Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	1.10	80
416. General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘ- TNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	55	40
417, 418, 419. Sir Edward Bulwer Lytton. ZA- NONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	165	120
420, 421. Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WAR- SZAWSKIE. Obrazy z życia kilku osta- tnich pokoleń, 2 tomy	55	40
422. W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Macie- jowski	55	40

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sievers	1.65	1.20
426, 427. OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	110	80
428. LARIK. J. Gadomski	55	40
429. WŁÓCZĘGA W TROJKE. Jerome Jerome , przeł. z ang. K. Paprocki	55	40
430, 431, 432. Z. Morawska . ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.65	1.20
433. Ludwik Proal . ZBRODNIE POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	55	40
434. Maurycy Barrès . POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	55	40
435. NEWROZA REWOLUCYJNY, według D-rów Cabanès i L. Nassa , opracowała K. Płńska	55	40
436. Antoni Gawiński . SEN ŻYCIA. Opowiadanie	55	40
437. Kazimierz Bartoszewicz . KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	55	40
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463 Prof. Mikołaj Berg . ZAPISKI O POLSKICH SPI-SKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	5.50	4.00
440. Teodor Jeske-Choiński . MAŁŻENSTWO JAKICH WIELE. Studium powieściow	55	40
443. J. Scherr . Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	55	40
446, 447. Ryszard Voss . WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	110	80
449, 457. A. Kuprin . POJĘDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	110	80
450. Paweł Doumer . KSIĄZKA MOICH SY-NÓW, przekł. E. Węslawskiej	55	40
451. Conan Doyle . CZERWONYM SZLAKIEM, Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	55	40
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZ-NY z czasów Stanisława Augusta	1.65	1.20

Tom	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
455, 456. Jerzy Radenbach . DZWONNIK Prze-łożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	110	80
459. Kazimierz Rakowski . DWA PAMIĘTNIKI z r. 1848 r.	55	40
461, 462. Grazia Deledda . POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram-Kościatkowskiej	110	80
464. Mark Twain . SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	55	40

Rok 1907.

465, 466, 469, 470. Jerzy Kennan . SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	2.20	1.60
467, 468. PAMIĘTNIKI KASZTELANA NAR-CYZA OLIZARA, Rok 1831, (wyczerp)	110	80
471, 472. Faustyna Morzycka . Z DNIA WCZO-RAJSZEGO. Powieść	110	80
473, 474, 475. Paulina Wilkońska . MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskiem w War-szawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.65	1.20
476. Stanisław Kozłowski . POCHODNIA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem Wystawiona na scenie Warszawskiej w dniu 16-ym lutego 1907 r.	55	40
477, 478, 479. Bonawentura z Kochanowa . WIN-CENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SY-NÓW. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnastego stulecia	1.65	1.20
480. Marion . PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)	55	40
481. Jerzy Grosjean . (deputowany). SZKOŁA I OJCZYŻNA, przekład Maryi Wentzlowej	55	40
482, 483. Zofia Casanova . (Lutosławska). DO-KTĘCZ WOLSKI. (Kartki z życia Polaków i Rosyan). Przekład z hiszpan-tkiego H. J.	110	80
484. Willa Zyndram-Kościalkowska . SZKICE LI-TERACKIE. I. Ignacy Chodźko	55	40

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
485, 486, 487. Henry Murger. SCENY Z ŻY- CIA CYGANERYI. Przekład z francu- skiego Zofii Wróblewskiej	1.65	120
488. Ludwik Włodek. NA POŁNOCY I NA POŁUDNIU. W krainie skār.—Pod nie- bam błękitnem. Wrażenia i szkice z po- dróży	110	25
489, 490. E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM. Powieść. Z upoważnienia autorki prze- łomaczyła Marya Feldmanowa	110	80
491, 492, 496, 497, 499, 501. PAMIĘTNIKI KA- JETANA KOZMIANA, obejmujące wspo- mnienia od roku 1780 do roku 1815	3.30	2.40
493, 494, 495. Wiktor Gomulicki. CIURY. Po- wieść	1.65	120
498. E. Czirikow. NOWELE. Przełożył z ro- syjskiego B. Str.	55	40
500. Juljusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII. Tło- czyła z czeskiego Juljā Kreczyńska	55	40
502. Kazimierz Gliński., CO MOWIĄ ŁASY LI- TEWSKIE Opowieść z poszumów drzew nadniemeńskich spisana	55	40
503. Tadeusz Rittner. NOWELE.	55	40
504, 505. Johan Bojer, MOC OPINII. Powieść. Z norweskiego przełożyła Józefa Kle- mensiewiczowa	110	80
506. S. M. Roguski. BOLKO SZCZODRY. O- braz historyczny w 5 obrazach	55	40
507, 508, 510, 511. Upton Sinclair. TRZESAWI- SKO. (The Jungle). Powieść. Przekład z angielskiego	2.20	160.
509. Tadeusz Gruzewski. (S. Topór). PAŃSTWO- WOSC ROSYJSKA. Serya rozpraw i artykułów politycznych.	55	40
512, 513. Eliza Orzeszkowa. ISKRY. Nowele.	110	80
514. Pamięci Jana Gadomskiego KOLEDZY.	2.50	2.—
515, 516. Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS. Powieść	110	80

KAKAO i CZEKOLADA

o o WEDLA o o
o o

zawdzięczają swe wielkie rozpowszechnia-
nie doborowi surowych materiałów i ste-
rannej na półwiekowym doświadczeniu opar-
tej fabrykacji i dlatego też z roku na rok
—cieszą się coraz większem uznaniem.—

KAKAO OWSIANE WEDLA

niezrównany środek odżywczy dla dzieci
i osób chorych na żołądek. Zalecane przez
o o o o o o o o lekarzy. o o o o o o o o

PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieni-
czne odżywianie w latach dziecięcych

MACZKA MLECZNA
NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie
jako najodpowiedniejszy pokarm dla niem-
włąt i dzieci.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie
ul. Elektoralna 35, telefon 600
poleca

Karpińskiego
Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyскуjącą, skłoną do wągrów i pryszczu, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego
Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.
Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego
Mydła Neutralne

znakomity środek higieniczny do pielęgnowania
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1850.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE.

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

ZAKŁAD FREBLOWSKI

Haliny Tarnowskiej

WARSZAWA, Zielna 11.

Przyjmuje freoblistki i ochro-
niarki. Kierunek ściśle pe-
dagogiczny. 12—8

FORTEPIANY I PIANINA

po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38. 52—8

Gruntowne reparacje.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84 13—8

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,
ZŁOTYCH i
z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ 52—8

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

Magazyn Bielizny

R. MALICKI

Chmielna Nr. 20.

Wybór wielki 26—8

Ceny przystępne.

„PROMIEN”

Czytelnia dla dzieci i młodzieży

(oddział dla dorosłych)

Marszałkowska 119 (parter)

Telef. 181-90.

Książki w 4 językach; prenumer. pism.

Codzienna dezynfekcja książek

na miejscu. 26—5

CHLEB SZWEDZKI ORYGINALNY

dietetyczny dla diabetyków i osób
cierpiących dolegliwości żołądka
poleca

Handel win i Delikatesów

L. Koziarski

dawniej 10—4

„Rektyfikacja Warsz.”

ul. Ś-to Krzyska róg Jasnej № 11.

AGATOL

proszek, eliksir i pasta

o silnym aromacie

DO CZYSZCZENIA ZĘBÓW

poleca Laboratorium

St. GÓRSKIEGO, Leszno 12.